

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 30 stycznia 1915. Nr. 5.

Polska na wygnaniu.



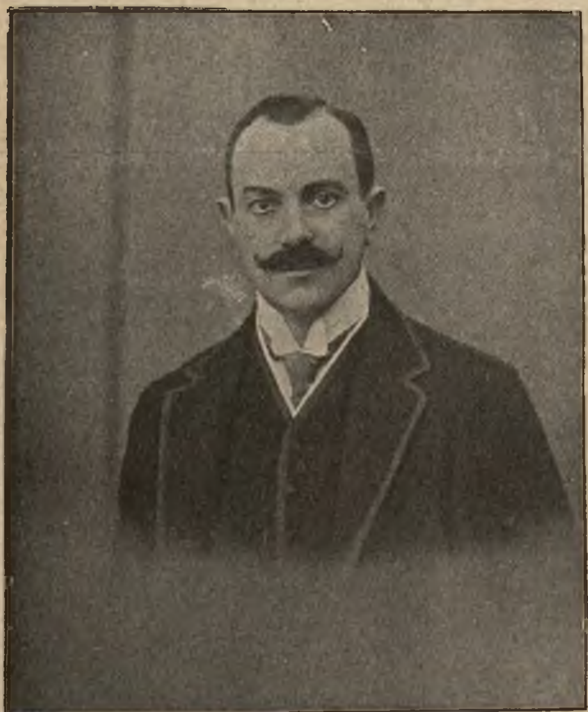
Gwiazdka dla wychodźców w zamku Graben. (Na przodzie od lewej ku prawej: dyr. Rohrman, dyr Eliasz, radca rządu baron Rechbach i ks. Lagosz. W środku komitet pań z Czerwonego Krzyża w Rudolfowo).

Polska na wygnaniu.

Znasz-li ten kraj gdzie kwitną
Nad grobami piołuny?
Gdzie niebo twarz błękitną
W szare kryje całuny?

Gdzie pola kośćmi siane,
Las szumi pieśń cmentarna,
Rzeki łzami wezbrane,
Przez ziemię płyną czarną?

Nad polską krainą powiała zgroza — raz po raz od pół roku przybiegają lotni posłańcy Hioba i głoszą wieści, przejmujące do głębi — jedni oznajmiają:



Polska na wygnaniu: radca dw. hr Choriński, przewodn. wspólnego komitetu słoweńsko-polskiego.

„Przypadli wrogowie i zabrali wszystko, a czeladź mieczem pozabijali“ — a inni głoszą: „Ogniem i mieczem spalone i zniszczone do cna całe powiaty“ — a inni jeszcze: „Synowie i dzieci tego kraju z głodu usychają i mrą“. Wierzyć się nie chce, by tyle klęsk, cierpień w tak krótkim czasie spaść mogło i zniszczyć szczęście i dobrobyt milionów i uczynić tą ziemię jednem cmentarzyskiem, a mieszkańców nędzarzami.



Polska na wygnaniu: Komitet polski w Lublanie (siedzą: ks. Lagosz i dyrektor p. Eliasz, od lewej ku prawej: Franciszek Kozłowski, Rudolf Lindner i Ludwik Woliński).

Ale wśród tego ogromu nieszczęść, które zwaliły się na naszą krainę, spełniają się słowa Pisma św.: „Na moc złego — jest moc dobrego“ i oto poczynają padać słowa mocne, które, mimo całej grozy położenia, krzepią serca i nie dają im kruszeć, ginąć.

Szlachetny Władca Austryi, Ten, którego Imię Polacy zawsze ze czcią i miłością powtarzać będą, sędziwy cesarz Franciszek Józef I., już po trzykroć wyraził swą litość dla nieszczęśliwego narodu, osobnem pismem cesarskiem w miesiącu październiku, w przemówieniach do deputacyi szlachty polskiej i do namiestnika Korytowskiego.

Gdy miara nieszczęść wzbierała, poruszył się już niemal świat cały — książę biskup krakowski, Adam Sapieha, swą gorącą odezwą zainteresował Europę i Amerykę sprawą biednej Polski. Amerykańska Polonia zjednoczona wydała hasło „by ratować Polskę“ i osobny dzień polski postanowiła. Ojciec św. Benedykt XV. i Kollegium kardynałów przesłało grosz ofiarny, Komisya rockefellerowska objeżdża ziemie zniszczone, a w Szwajcaryi pod prezydenturą Sienkiewicza radzi i zbiera pieniądze Komitet międzynarodowy.



Polska na wygnaniu: Magazyn ubrań i biblioteka komitetu słoweńsko-polskiego w Lublanie.



Polska na wygnaniu: Ks. Kazimierz Lagosz, delegat gminy i komitetu obywatelskiego miasta Krakowa

„Na moc złego — moc dobrego“. Ale też zasłużyła Polska na współczucie, ma prawo żądać pomocy. Dawniej ta Polska świeciła Europie, była jej puklerzem — dziś się jej przypomina, biedna, skopana i sponiewierana przez wroga na swojej ziemi własnej — ukryta w lochach podziemnych i piwnicach, albo — na wygnaniu.

Bez przesady możemy bowiem powiedzieć: Polski duża część dzisiaj na wygnaniu. Setki tysięcy, jeżeli nie miliony, szukają schronienia u obcych. Podawaliśmy już opis tego polskiego tułactwa i każdy numer „Nowości Illustrowanych“ przynosi obrazy z życia naszych wygnańców wojennych; w numerze tym dajemy obrazy z życia wygnańców w Krainie.

Kraina, to kraj naszych pobratymców, Słoweńców. Nieduży kraik, zaledwie 10.000 km. kwadr. obszaru, a 600.000 mieszkańców, jednak stoi bardzo wysoko pod względem oświaty. A czem nam najbardziej może imponować, to tem, iż mały lud słoweński umiał się tak zorganizować, iż rzadko coś podobnego nawet w krajach o wysokiej kulturze spotkać można. Słoweńcy, związani w organizacyach katolickich, winni nam służyć za wzór. W mieście Lublanie skupia się całe życie narodowe i społeczne Słoweńców. Tam posiadają wspaniale urządzoną „Księgarnię katolicką“, którą można nazwać źródłem nie wysychającem narodowego i społecznego postępu Słoweńców.

W Krainie przebywa przeszło 5 tysięcy naszych wygnańców. Rząd krajowy i ludność przyjęła nader życzliwie biednych ludzi, których los wygnał z kraju swego. Książę biskup Lublany, dr. Jeglic, wydał osobny list pasterski do swych wiernych, a przedstawiwszy, kim są ci wygnańcy i co ich do Krainy przywiodło, wezwał ludność Krainy, by się nimi troskliwie zajęła i zaopiekowała.

Książę Biskup Sapieha wydelegował dla pieczy duchownej nad ludnością polską w Krainie ks. Kazimierza Lagosza. Ks. Lagosz zabrał się do zorganizowania opieki nad wygnańcami, w każdej miejscowości powstały komitety miejscowe, kilka powiatowych, a nadto Komitet ogólny w Lublanie, na czele którego stanął dyr. gimn. w Żółkwi, p. Kazimierz Eliasz. Oprócz tego utworzył się Komitet wspólny słoweńsko niemiecko-polski pod przewodnictwem radcy dworu p Chorińskiego. W ten sposób celowo i systematycznie przeprowadzono organizacyę opieki nad wygnańcami i dzisiaj jeszcze stosunkowo najlepiej powodzi się polskim wygnańcom w Krainie. Rozmieszczeni po wioskach i miasteczkach, otaczani życzliwością Słoweńców, wspierani przez Komitet krajowy, który szczegółowo informuje się o ich potrzebach i ich życzenia przedstawia odpowiedzialnym czynnikom, nie mają powodu użalać się na swój los tułaczy.



Obrazki wojenne: Opatrunek rannego.



Polska na wygnaniu: Dyrektor p. Kazimierz Eliasz, przewodniczący Komitetu polskiego w Lublanie.

Co ich smutkiem przejmuje, to niepewność, jak długo jeszcze trwać będzie to wygnanie przymusowe. Tu wiosna nadejdzie, a rola będzie leżeć odłogiem, bo wróg jeszcze rozsiadł się w kraju — nie będzie komu jej uprawiać. To też na skrzydłach pragnęliby lecieć nasi wygnańcy do swej ziemi i obsiąść tę rolę ukochaną i pracować.

Kraj nasz smutny, ubogi,
Ciągnie serce tułacze,
On nad wszystko nam drogi,
My z nim, on z nami płacze.

Tak! Nie masz bowiem większej tragedyi, nad tragedyę ludu polskiego, oderwanego od swej roli, od swej ziemi. Lud ten zrósł się z tą ziemią, ukochał ją całą duszą, ona mu nad wszystko drogą, ona mu starczy za wszystko. Dziś setki tysięcy ludu polskiego oderwano od tej ziemi — cóż dziwnego, że ci wygnańcy ciągle myślą o powrocie,



Polska na wygnaniu: Wychodźcy z Galicyi w gminie Górna Szyszka.

tęsknią za nią, żalem ogarnięci wyciągają ku niej dłonie. —

Ale trudno —

„Po tylu próbach, chwię jeszcze jedną
Czekać i czuwać, bo czas niedaleki,
W którym Ojczyznę, matkę naszą biedną
Z grobu wyniesiem, by żyła na wieki!“

„Na straszne klęski potężna nadzieja!“

Ta nadzieja też nie dozwala upadać wygnańcom na duchu, ale słodzi im i lżejszem czyni brzemię niedoli wygnańczej – i każe im wierzyć niezłomnie, iż skończy się wygnanie, a ziemia polska znowu po wita z radością swoje dzieci.

Zgon zasłużonego pedagoga.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Krakowie po długich cierpieniach ś. p. Józef Parczyński, dyrektor Szkoły wydziałowej św. Floryana.

Ś. p. Zmarły, cichy pracownik na polu szkolnictwa ludowego, nie szukający rozgłosu, umiłował nad wszystko szczytny ten, choć niewdzięczny zawód i nie szczędził sił i zdrowia, by doprowadzić młodzież, powierzoną Jego pieczy do właściwego celu, to jest by dać jej te pierwsze podstawy wiedzy, które mają być potem podwaliną całego przyszłego wykształcenia.

Widząc, jak wysoki w naszem społeczeństwie wykazuje statystyka procent analfabetów, dołożył też wraz z innymi ludźmi dobrej woli starań i głównie dzięki Jemu właśnie założono w Krakowie pierwsze bezpłatne kursy dla dorosłych analfabetów tak cywilnych, jak wojskowych, którym tysiące zawdzięczają nabycie elementarnego wykształcenia.



Obrazki wojenne: Pogrzeb żołnierza na placu boju.

Gdyby to była jedyna zasługa Zmarłego, już musiałoby społeczeństwo zachować nazwisko Jego w wdzięcznej pamięci.



Zgon zasłużonego pedagoga: Ś. p. Józef Parczyński, dyrektor szkoły wydziałowej św. Floryana w Krakowie.

Ciężką pracę nauczycielską zaczął ś. p. Józef Parczyński w skromnej szkółce w Libiążu, następnie w Jaworznie i tu już zyskał opinię wytrawnego i sumiennego kierownika młodzieży. W dowód uznania za wydatną pracę przeniosła Go stąd Rada Szkolna na stanowisko kierownika szkoły w Czernichowie, gdzie pracował kilka lat, zyskując sobie ogólny szacunek, sympatyę i przywiązanie młodzieży.

Stąd dostaje się do Krakowa, gdzie otwiera się przed nim właściwe pole pracy i rozpoczyna drugi etap działalności pedagogicznej. Zajęty pierwotnie w szkole św. Barbary i św. Jana Kantego, w krótkim stosunkowo czasie mianowanym zostaje kierownikiem szkoły św Szczepana, a wreszcie dyrektorem szkoły wydziałowej św. Floryana na Kleparzu.

Jakie zasługi na tem stanowisku położył, wiedzą wszyscy, wystarczy wspomnieć, że On, pomijając już kursy dla dorosłych analfabetów, przyczynił się do założenia szkół zawodowych, On wysyłał biedne dzieci na kolonie wakacyjne do Kochanowa, On nie szczędził starań, by wdowy po nauczycielach otrzymały większe emerytury.

Dzięki Jego zabiegom wybudowało miasto wspaniały budynek przy ulicy Szlak, w którym pomieszczono szkołę wydziałową, zostającą pod Jego kierownictwem.

Owocną była również i praca Jego obywatelska, nie szczędzono Mu też na każdym kroku dowodów uznania. Najjaśniejszy Pan ozdobił Go złotym krzyżem zasługi z koroną, Tow. Szkoły ludowej powołało Go do swej Rady naczelnej, Towarzystwo Kolonii wakacyjnych dla biednych dzieci złożyło w Jego ręce godność prezesa. Zasiadał ponadto i w dyrekcyi krakowskiego Tow. Zaliczkowego.

Nieubłagana śmierć wyrwała Go z grona rodziny, kolegów i młodzieży w pięćdziesiątym siódmym roku życia. Zmarł, pozostawiając ogólny żal, na który rzetelnie sobie zasłużył.

Cześć Jego pamięci.

Karabiny maszynowe.

Jednem z najbardziej morderczych narzędzi, jakiemi posługuje się nowoczesna strategia, są karabiny maszynowe

Prawo obywatelstwa zyskały sobie niezbyt dawno, bo dopiero w czasie wojny rosyjsko japońskiej. Odtąd uznano je za broń pierwszorzędnego znaczenia i zaprowadzono na gwałt we wszystkich armiach światowych, skąd wyparły zupełnie prawie kartaczownice, czyli, t. zw. armaty rewolwerowe (*mitrailleuse*).

Właściwa zasada, na jakiej obydwa te śmiercionośne przyrządy zbudowano, jest jednaka. Jest to rodzaj dział, strzelających pociskami mniej więcej tej wielkości, co kula karabinowa, zaopatrzonych zaś w cały szereg luf o małym kalibrze, kolejno i szybko po sobie strzelających.



Obrazki wojenne Dr. Baścik i dr. Missona przed szpitalem polowym.

Z czasem okazało się przecież, że armata rewolwerowa, zaopatrzona w szereg luf, które obracają się dokoła wspólnej osi, w czem bierze udział i mechanizm nabijający, jest niepraktyczną. Zaczęto pracować nad ulepszeniem mitraliezy i wpadnięto na pomysł, by lufa była tylko pojedynczą, to jest, by miała niezmienione położenie, aby natomiast przesuwał się tylko mechanizm ładunkowy.

W ten sposób powstała kartaczownica Maxima, w której naboje ułożone są w wieniec, a strzały następują automatycznie, tak, że armata wymaga tylko należytego ustawienia. Daje ona siedmset strzałów na minutę, inne systemy dochodzą nawet do tysiąca dwustu.



Obrazki wojenne: Personal jednego ze szpitali polowych.

Jak obficie zaopatrzone są państwa wojujące w ten rodzaj broni, można się przekonać z wykazów zdobyczy, które obliczają je nieraz i na setki.

Nowoczesną śmierć, Kostusię, zamiast z kosą, malarz modernista powinien przedstawić z karabinem maszynowym.



Polska na wygnaniu: Gmach drukarni katolickiej w Lublanie, gdzie mieszczą się kancelarye komitetu polskiego dla wychodźców.

JÓZEF LASOŃ.

BĄCZEK.

(Ze wspomnień Legionisty).

II.

Przyłączył się do kompanii niewiadomo kiedy i gdzie. Początkowo szedł z pierwszym plutonem, później z którymkolwiek, na docinki złośliwie odpowiadając. Mógł mieć około lat 14, fizycznie dość rozwinięty, o twarzy śniadej, orlim nosie i błyszczących nadzwyczajną intelligencyą i rozwagą oczach. Czarne włosy okalały twarz jego, wysuwały się z pod czapki strzeleckiej. Ruchy energiczne, sprężyste świadczyły o zwinności małego strzelca. Ubrany był kompletnie. Siwy, nowiutki mundurek leżał na nim, jak na lalce. Sztuce, żółte buty wojskowe, pas i plecak dopełniały umundurowania.

Śmiali się z niego, że, jak dostanie karabin Werndla, to musi sobie drabinkę sprawić, aby się zrównać z karabinem. Trzymając na ramieniu damską dubeltówkę, odwracał się, z gniewem mówiąc:

— Mam już karabin! Nowiutka dubeltówka.

— Cóż ty na zające się wybierasz z tą dubeltówką?

— Zobaczymy!? Zobaczymy!? — mruczał pod nosem.

— Hej obywatelu! — krzyknął Gruby, podoficer z pierwszego plutonu. — Jak się nazywacie? He! Kto was do naszej kompanii przydzielił?

— Mścibój mam pseudo! odparł. — Sam się przydzieliłem. Nie chcieli mnie przyjąć, do kompanii wcielić, to idę z waszą kompanią.

— Mścibój! Mścibój! — żartowali z niego. — To ze dwanaście lat musicie czekać, aż uróśniecie, aż będziecie prawdziwym mścibojem.

— Dobrze! Dobrze! — wykrzywił twarz złośliwie, język drażniącym go wystawiając.

Z Krakowa wyruszył razem z batalionem cap, podarowany przez jakiegoś obywatela, a ofiarowany na pożarcie zgłodniałym strzelcom. Ktoś mu rogi owinął czerwonem płótnem, tak jakby sztandar chciał uczynić z rogów capa. Wiernie tedy towarzyszył, trzymając się przeważnie trenu, gdyż najwięcej przysmaków rozmaitych rzucali mu żołnierze od trenu. Ale pozatem swobodnie plątał się pomiędzy kompaniami, łbem potrząsając, z figlów bódł zaczepiających go i drażniących. Wogóle nie tylko on jeden towarzyszył, gdyż i psów kilka wlokło się za batalionem, pilnie bacząc na porę posiłku. Nieraz tedy proponowano Mścibojowi, aby na capa siadł. odpowiedni konik z niego będzie. Mówiono mu, aby siodełko dał sobie zrobić w Kielcach, a jak do Warszawy wejdzie pułk polski - to on pierwszy na swoim koniku wjedzie i przedstawi się pięknym Warszawiankom.

Najwięcej jednak nabierali Mściboja na odpoczynkach. Przekręcali nazwisko, zwali umyślnie źle, aby jeden drugiego mógł poprawiać tak, jak on się właściwie nazywa. Ale nie były to żarty ze złego serca, ze złośliwości wypływające. Była to niby rozrywka wspólna, czasem jednakże niejednemu dobrze się dająca we znaki.

Nieraz wieczorem, na kwaterze siedząc, namyślali się, jakby Mściboja nazwać inaczej, inne pseudo mu nadać. Szczególnie obywatele z pierwszego plutonu sypali rozmaitemi „pseudami“ jak z rękawa, ale żadne nie przypadło nam do gustu.

Mścibój zaś tylko się uśmiechał i udawał, że to go nic, a nic nie interesuje, ani nie obchodzi. Sadzić się na koncepta — jak sam mówił zwykle — to tylko dobre, ale nie takie jak te, nudne.

„Sadzili“ się przeto, aby mu imię jakieś dla jego figury odpowiednie wymyślić, ale to wszystko było mdłe i niesmaczne.

Ale też i kochali go bardzo. On zaś cieszył się, że wlazł w taką kompanię, gdzie wprawdzie czasem dopiekli, ale też i wesoło zawsze było i śpiewy w marszu i harmonijki ustne na kwaterach wieczornych.

A wieczorami na wypoczynku jak się „paka“ zebrała do kąta, w siano wtuliła po uszy i dalej opowieści snuć... to dowcipne... to przesolone... Za brzuch nieraz trzymać się musiało od tego śmiechu.

To też Mścibój pomimo licznych przykrości nie zmieniał już kompanii. Dobrze mu tu było i wesoło.

Nieraz sam nawet podmawiał, aby zacząć obrabiać kogo, choć wiedział, że najczęściej on padnie ofiarą, bo wszyscy od niego zawsze zaczynali nabierania.

Wreszcie znaleźli coś dla Mściboja odpowiedniego. Pewnego wieczora z tajemniczą miną zwołał pierwszy pluton podoficer Gruby i Mściboja do środka zaprosił.

Wytrzeszczył oczy, począł się patrzeć na nich, jak na waryatów, później spytał:

— Cóż to nowego będzie?...

— Co? Co! Nie wiecie?

— Nie!

— Wielka uroczystość! — odparło kilku.

— Jaka uroczystość? — zapytał Mścibój zaciekawiony, myśląc, że jakaś niespodziewana wieść przyszła do pułku.

— Chrzciny będą! — krzyknęli wesoło.

— Czyje?

— Zaraz się dowiecie! Tylko Gruby przyjdzie z „pępkówką“!

Po chwili z poważną miną przybiegł podoficer Gruby, dzierżąc pod pachą dwie, do niewoli zabrane w Miechowie, flaszki z *aqua vitą*, czyściutką rosyjską monopolką. Zrobił poważną minę, jakby przed aparatem fotograficznym i tragicznym giestem podniósł obie flaszki do góry, przemawiając:

— Mściboju! Dziś cię ochrzcimy! Oto na chrzest twój postarałem się o to kadzidło.

— Ja już chrzczony jestem! — odparł Mścibój.

— To nic! Ale do kompanii nie jesteś wpisany i przyjęty.

— Słusznie! Słusznie! — rozległy się głosy.

— Wiecie co? — krzyknął Gruby — Nazwijmy go Bączek. No i co? Zgoda?

Śmiech, gwar towarzyszył słowom Grubego.

— Ja mu będę chrzestnym ojcem! — krzyczy jeden.

— Ja chrzestną mamą!

— Ja zaś akuszerką!

Chwycili go na ręce, podrzucać poczęli do góry, huśtać, jakby lalkę jaką. Złościł się, gniewał, krzyczał, ale nic nie pomogło. Zlali mu głowę wodą, wódką natarli twarz, później na chrzciny zaprosili plutonowych. Krzyku, hałasu co niemiara. Flaszka z wódką krążyła dokoła, póki ostatnia kropla nie wysączyła się z niej do spragnionych ust strzelca. I tak Bączkiem pozostał.

W niedługi czas potem po złożonej przysiędze w Kielcach odebrano wreszcie stare karabiny Werndlowskie, a zastąpiono je nowymi Manlicherami.

Mścibój jednakże skwitował z Manlichera, a pozostał przy swojej damskiej dubeltówce. Tylko w Kielcach dał sobie rymarzowi dorobić pas boerski na naboje, w który powtykał ładunki i tak przewiesił przez plecy.

— Za ciężki dla mnie Manlicher — mówił — zresztą gdyby to jeszcze 95 model, to może by mi tak ręka nie drżała, ale przy tym 90 modelu, to cały się trzęsę. Wolę już tę moją dubeltówkę, choć ona niby na zające jest, ale zobaczymy te zające.

Zato ustawicznie wzdychał do sztucera kawaleryjskiego. Bo sztucer — mówił — zgrabny jest, mały, ani w marszu mi nie zawadza, ani też przy strzale. Jestem wówczas pewny strzału. Ja mały, sztucer także mały.

Ale z piechurów nikt nie miał sztucera. A z konnicy znów nikt się nie chciał przemienić za Manlichera, gdyż nie tak łatwo było o nowy i dobry do tego sztucer.

Tak też Bączek z dubeltówką ustawicznie maszerował.

W marszach często napotykane treny zaczepiał, prosił się żołnierzy austryackich, pruskich, aby mu sztucera podarowali. Ot, mały sztucer, to całe jego marzenie i konik do tego czarny, toby dopiero wojował. Żołnierze zaś odpowiadali z uśmiechem:

— Do szkoły bracie! Do szkoły! Tabliczkę nosić i rysik, a nie na wojnie zawadzać!

— Po cóż on idzie? Strzelać nawet nie potrafi — pomiędzy sobą mówili.

Hardą miał naturę i butną. Zęby nieraz zacinał, gdy mu dokuczali, odcinał się na lewo i prawo, językiem ciął ostro, stawał się z każdym dniem więcej złośliwym. Często odłączał się od kompanii, włóczył się Bóg wie gdzie samodzielnie. Łobuz i wisus stał się z niego.

Ustawicznie marzył o sztucerze i czarnym koniku i przemyśliwał, jakby to zdobyć. Potyczek większych jeszcze nie było, drobne tylko utarczki z przedniemi strażami, ciężko więc było zdobyć coś samodzielnie.

* * *

Jak przyszedł Bączek, tak też pewnego dnia z kompanii zwiał. Zatracił się gdzieś, zniknął jak kamfora i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Rozmaicie potem mówiono w kompanii o Bączku. Jedni twierdzili, że widzieli go rannego w Jędrzejowie — drudzy znów mówili, że prawdopodobnie zwiał do domu, sprzykrzyło mu się to polowanie, tem bardziej, że zające wystraszone pouciekały z okolic Kielc, powynosiły się do innej gubernii. Żałowali go bardzo, bo smutno się zrobiło bez niego w kompanii — nie było kogo zaczepiać — zresztą nikt się tak, jak on, odcinać nie potrafił.

— Bączek w pieleszu, u mamy i papy pewnie teraz będzie!? — śmiali się. — Babcia mu okłady zimne i gorące robi.

— Albo też przy innej kompanii jest — tłumaczyli drudzy. — Sprzykrzyło mu się u nas, za bardzośmy mu dokuczali, tak też zwiał, na wieki wieków amen.

Tak też zaginął ślad o Bączku.

Wspominali go jeszcze czasem, ale już coraz rzadziej, aż wreszcie zupełnie o nim zapomniano.

Był, żył, zginął, zwiał — niema go — i kwita. Zapomniano o nim zupełnie.

Dopiero przy drugim powrocie do Kielc opowiadali o małym chłopaku, który, podczas największego ognia karabinowego, za linię tyralierską się podsunął i dwóch oficerów z dubeltówki zabił. Potem przy Kielcach, zaczajony przy drodze, w rowie, do przejeżdżającego automobilu wystrzelił, oficera dwoma kulami w głowę trafił. W nagrodę za to dostał upragniony sztucer i podobno guldena od pułkownika Piłsudzkiego.

— To pewnie Bączek — mówili potem w kompanii. — To pewnie nasz Bączek, któregośmy tak wesoło ochrzcili. To ci szelma sprytna.

W parę dni potem do kompanii przyszedł, ze starymi druhami przywitał się. Oglądali go dokoła, ustały już drwinki i dowcipy, poważnie poczęto go traktować. To już nie ten Bączek, co na zające się wybierał — to prawdziwy zuch. Począł opowiadać, jak się przedzierał przez gęstwinę, jak podkradał cichaczem i sprzątnął ich z dubeltówki. A twarz mu rozgorzała, ogniem zapłonęły lica.

— Nie na zającem się wybrał! — mówił z dumą — Ale na grubą zwierzynę. Ja tam co lepsze wybieram. Wy sobie strzelajcie do szeregowców, ja zaś na oficerów poluję.

Wbiło go to w dumę, hardym się stał, zarozumiałym trochę przytem. Ale każdy z nim chciał rozmawiać, bo sławę już miał — na grubą zwierzynę polował i dobrze umiał polować.

— Żebym tylko konika dostał — z grymasem na ustach mówił. — Tobym wam pokazał! Ho! Ho!...

Sztucer z ramienia zdjął, odciągnął zamek, nabił karabin.

— O patrzcie! Jaki nowiutki karabinek dostałem. Teraz dopiero pukanina będzie. Patrzcie, jak leciutko chodzi.

Wyładował karabin, naboje schował do ładownicy uśmiechając się wesoło.

— A gdzie dubeltówka? — spytano go.

— Dubeltówka?!...

— Tak.

— W mogile leży ciemnej.

— Cóż się z nią stało?

— Ano co! Kiedym dostał karabinek, dubeltówkę wpakowałem do wozu i dyabli nadali, że mi ją połamali. A chciałem koniecznie zachować ją dla siebie. Po wojnie miałbym był pamiątkę. Nie dość na tem, to jeszcze ci obrzydliwi treniarze pogubili gdzieś połamane części, tak, że już na dobre z nią się pożegnałem. Ale, wiecie co?

— No?...

— Jestem teraz przydzielony do trenu! Powiedział mi lekarz, że mi się nogi schodziły, tak muszę je teraz wozić, zamiast one mnie nosić!

— To będziesz niedługo inwalidą?! — zaśmiali się.

— O, co to, to nie! Chyba po śmierci!

Wykręcił się na obcasach, poprawił karabin na ramieniu i prędkim krokiem oddalił się w kierunku trenu.

* * *

Przy stoliku w pokoju inspekcyjnym, oficer W. siedział, raport wieczorny pisał. Wyciągnął zegarek z kieszeni, popatrzył na godzinę. Szósta już dochodziła, raport jeszcze nieukończony, zmiana dyżuru blizka, a i na odprawę trzeba zaraz iść. Przeglądnął notatki, wypadki dnia zestawił, spiesząc się przytem. A tu, jak na złość, co chwilę ktoś wpadnie, od pracy go odrywa.

Ordynans stanął w drzwiach, zasalutowawszy, zaraportował:

— Obywatel Sroka, czy wpuścić?

— Cóż do dyabła! — gniewnie oficer przerwał — Nie mógł wcześniej przyjść. Pewnie tam o jaki drobiazg mu się rozchodzi, i głowę mi będzie zawracał.

— Wpuścić? — powtórnie ordynans zapytał.

— Wpuścić do cholery!

Sroka stanął przy drzwiach, zasalutowawszy, raportował:

— W trzecim plutonie brak dwóch ludzi, Bolka i Ordona. Rano jeszcze wydalili się z kwatery i niewiadomo, co się z nimi stało.

— Jakto niewiadomo? Przecież podoficer musi wiedzieć, co się z nimi stało. Na wartę może poszli?

— Teraz właśnie dopiero mieli iść, szukaliśmy po całem mieście, nigdzie ich niema..

— Może ich patrol aresztowała, za miasto chcieli może wyjść, a nie mieli przepustek.

— Nie, obywatelu plutonowy. Niema ich w areszcie.

— Gdzieś do dyabła muszą być. Trzeba ich wyszukać, a tymczasem kogo innego na ich miejsce na wartę wysłać.

— Według rozkazu! — odparł Sroka, wyciął obcasem w tył zwrot i oddalił się pospiesznie.

— No, nareszcie skończę! — szepnął do siebie oficer dyżurny, zabierając się do ukończenia raportu.

Spisał nazwiska dyżurnych, ukończył raport, z zadowoleniem rozparł się na krześle, podkręcając kiełkującego dopiero wąsika i czekał cierpliwie zmiany dyżuru.

Za drzwiami doszedł go jakiś szmer, sprzeczkę ktoś prowadził z dyżurnym.

— Co jest tam? — krzyknął — Hej dyżurny!

Dyżurny wbiegł do pokoju, mówiąc:

— Ten mały Bączek chce koniecznie, abym go wpuścił do pokoju inspekcyjnego. Tłumaczyłem mu, żeby zaczekał, aż przyjdzie zmiana, gdyż dyżur teraz właśnie się zmienia, a on się napiera, ze koniecznie musi wejść zaraz, gdyż ma bardzo ważną sprawę.

— Co za sprawę?

— Mówi, że jeńców do niewoli wziął.

— Kto? — zaśmiał się plutonowy.

— Że on wziął!

— Wpuścić go! Wpuścić! Bączek jeńców wziął. Pewnie jakichś chłopaków wiejskich.

Zamaszyście wszedł do pokoju Bączek, uwalany od stóp do głowy gliną i zaraportował:

— Melduję posłusznie, obywatelu plutonowy, czterech kozaków do niewoli wziąłem.

— Kto? Ty? — ze śmiechem przerwał mu oficer.

— Tak! ja! — z dumą odparł.

— Chyba malowanych.

— Nie, obywatelu! Żywych.

— Ha! Ha! To dobrze! Doskonale! Bączek do niewoli czterech kozaków wziął. A gdzież ty ich masz. W kieszeni na fotografii.

Urażonym wzrokiem spojrzał Bączek na oficera, twarz mu się skurczyła od gniewu i odparł szorstko:

— Nie w kieszeni na fotografii, ale żywych przyprowadziłem. Na podwórzu czekają, Bolek i Ordon ich pilnują, zaraz ich wprowadzę.

— A no, wprowadź! — niedowierzająco przemówił plutonowy. — Zobaczymy, co to za jeńcy.

Wybiegł szybko, za chwilę drzwi się na oścież rozwarły. Kozak, olbrzymie chłopisko, obrośnięty jak niedźwiedź, do pokoju się wtoczył, Bączek za prawe ramię jego się przyczepił i tak obaj stanęli w pośrodku Kozak dwa razy większy od Bączka, olbrzym naprzeciw tego małoluda. Za nimi trzej inni, a wkońcu zaginieni żołnierze z trzeciego plutonu Bolek i Ordon, z nasadzonymi bagnetami na karabinach.

— Tyś ich do niewoli wziął? — spytał zadziwiony plutonowy.

— Tak! Ja i dwaj moi koledzy: Bolek i Ordon.

Plutonowy spisał protokół, jeńców kazał warcie odprowadzić do komendy placu, a sam koło Bączka stanął, poklepał go po ramieniu i przemówił:

— Opowiedzno, Bączku, jak to było!

— Zaraz wszystko opowiem, tylko papierosa zapalę, bo mi się strasznie palić chce.

Plutonowy W. wyjął papierośnicę, poczęstował papierosem i poprosił, aby usiadł i opowiedział mu dokładnie.

Ledwie usiedli, zmiana dyżuru nastąpiła, ale po oddaniu służby natychmiast rozparł się Bączek na krześle i począł opowiadać:

— Dziś rano spotkałem się z Bolkiem i Ordonem. Zaczęliśmy rozmawiać i wkońcu zaproponowałem, abyśmy poszli do wsi zarekwirować coś do zjedzenia i wypicia. O drugiej popołudniu wymknęliśmy się z karabinami za miasto i jazda... buch do wsi. Weszliśmy do chałupy, prawie że ostatniej, co pod samym cmentarzem stoi i tam byce towarzystwo napotkaliśmy. Dwie ładne dziewczyny, matka i chłopak wiejski. Gospodyni wyciągnęła flaszkę z wódką i dalej z nią dokoła, gwara i śmiechy, bo nam się języki rozplątały. Masłem chleb grubo posmarowała, a potem pyta się, czy będziemy jeść jajecznicę, to nam usmaży. My naturalnie z chęcią zgodziliśmy się na tą wielką prośbę gospodyni. Ogień wesoło zabłysnął na kominku, gospodyni natłukła z pół kopy jaj i do ognia przystawiła, a my z córkami dalej rozprawiać o tem i o owem. Czas nam płynął przyjemnie i prędko, śmiechu i gadaniu nie było końca. Nagle wpada chłopak do izby i przelęknionym głosem krzyczy:

— Uciekajcie! Uciekajcie! Kozaki idą!

Zerwaliśmy się piorunem, łap za karabiny, nabiliśmy i dalej co począć, naradzamy się. W izbie pozostać... źle, a według opowiadań chłopaka, lada chwila wpadną, zresztą niewiadomo, wielu ich jest. Tak gospodyni, niewiele myśląc, pokazała nam na strych. Buch jeden po drugim przez sionkę i po drabinie wio... na górę. Położyliśmy się na słomie, karabiny nabite obok nas i czekamy, co dalej będzie. Serce poczęło mi pukać, ale zdecydowany byłem na wszystko. Zresztą przypuszczałem, że to albo jaka zabłąkana patrol kozacka albo przednia straż, którą trzeba będzie dobrze wymacać i piorunem donieść komendzie. Bolek zdjął czapkę, ostrożnie głowę wychylił przez dymnik.

— Cicho — szepnął — czterech kozaków wali koło cmentarza prosto w tym kierunku.

— Wielu? — spytałem — czterech?

— A tak!

— E, to głupstwo! Damy sobie radę — odezwał się Ordon. — Poślemy im kilka pigułek i kwita.

— Nie trzeba — odrzekłem. — Lepiej ich do niewoli wziąć, byleby tylko cholery tu przyszli.

— Byczo! Byczo! — odparli — do niewoli.

Wychyliłem głowę. Kozunie już pod chałupą. Z koni zeskoczyli, do płota przywiązali. Potem z hałasem i krzykiem do izby wpadli, przerażonych domowników o „sokolików" się pytają. Baba się przysięga, zaklina na wszystkie świętości, wkońcu wyciąga wódkę i częstuje ich. Kozunie w chałupie się rozsiedli, karabiny zdjęli w sionce, zostawili. Naradzamy się, co zrobić. Drzwi od chałupy otwarte, każdej chwili skoczyć mogą, za karabiny chwycić, gdyby spostrzegli, że schodzimy ze strychu. Trzebaby koniecznie sprzątnąć karabiny, rozbroić Kozuniów. Ale jak. Zejść z góry nie sposób, drzwi otwarte. Ale chłopak gospodyni przy koniach stanął i ogłą dać je począł. Wystawiłem łeb z dymnika, psyknąłem na chłopaka. Odwrócił głowę, popatrzył w naszą stronę. Na migi daliśmy mu znać, co ma robić. Drzwi od chałupy zamknąć, drabinkę nam przystawić. Chłopak pokręcił się trochę po sionce, podrapał po głowie i dalej drzwiami majstrować, jakby chciał je naprawiać. Przymknął je z trzaskiem, kamieniem począł skobel przybijać. Umówiliśmy się wtedy. Bolek i Ordon za okno z nabitemi karabinami, ja zaś we drzwiach stanę; zeszliśmy ostrożnie. Chłopak wali kamieniem w skobel, przybija i przybija. My łap za karabiny, za stodołę schowaliśmy. Z bijącem sercem rozstawiliśmy się. Bolek i Ordon pod okno poczęli się podkradać, ja pod drzwi.

Kozunie tymczasem, napiwszy się wódki, coraz bardziej poczęli się rozgospodarowywać w chacie. Klęli na gospodynię, o wódkę ustawicznie się dopominali i jajecznicę kazali sobie smażyć.

— Poczekajcie! — myślę sobie w duchu. — Damy my wam jajecznicę.

Czekałem na sygnał Ordona. Jeśliby za ten czas, kiedy oni zdołają się pod okno podsunąć, kozunie z chaty wybiegli, musiałbym sam rozpocząć „ofenzywę", a w każdym razie w karabinie pięć kul jest. Zresztą „rezerwa" tuż lada chwila nadbieży.

Zaniepokoiło mię to, że tak długo Ordon nie daje umówionego sygnału. A tu kozunie podsunęli się bliżej drzwi, koło pieca. Chłopak coraz silniej wali kamieniem w skobel. Ręce mi drżą z niecierpliwości i niepewności.

Nagle gwizdnął Ordon. Był to umówiony sygnał. Wpadłem do izby krzycząc:

— Ręce do góry!

Zerwali się kozaki, a widząc w oknie dwóch i mnie we drzwiach z karabinem gotowym do strzału poddali się bez oporu, myśląc, że, Bóg wie, jaka siła nas tu przyszła. Prosili tylko, aby mogli zjeść jajecznicę, co gospodyni dla nich smażyła. Za ten czas chłopak od gospodyni poleciał do komendy i warta przyszła zabrać jeńców. Tak ich tutaj przyprowadziliśmy, no... i koniec.

Z zainteresowaniem przysłuchiwali się opowiadaniu Bączka, a wkońcu oficer W. powiedział:

— Dobrze! Dobrze chłopcy! Batalionowemu zdam raport o was. Ale karę dostaniecie także. Bez przepustki włóczycie się gdzieś. Ordon i Bolek miał mieć teraz wartę. Co za porządek. Staniecie do raportu batalionowego. Kto wam pozwolił się włóczyć po wsiach! He!... he!... poczekajcie ptaszki... jutro będziecie śpiewać inaczej... — śmiał się oficer dyżurny.

Na drugi dzień przy raporcie batalionowym wszyscy trzej zostali mianowani podoficerami, ale równocześnie ukarani trzechdniowym aresztem za złamanie dyscypliny.

Taki to Bączek był...

* * *

W grudniu spotkałem go w Jabłonkowie z nierozłącznym sztucerem na plecach. Szedł do komendy placu. Zmężniał, rozrósł się, z małego chłopca począł się przerabiać żołnierz silny, wytrwały, zahartowany. Twarz nabrała już więcej męskości i hartu, tak jak gdyby przez te kilka miesięcy lat mu przybyło tak fizycznie, jak też i duchowo. Tylko oczy jeszcze bystrzej na świat patrzały. Niktby nie uwierzył, patrząc na niego, że to ten sam Bączek, który dzieckiem prawie będąc, na wojnę się wybrał, tak wyrósł i zmężniał. Mundur miał nowy na sobie, płaszcz również, tylko czapka strzelecka ta sama, teraz poszarpana, zniszczona przez deszcze.

Żołnierz już z niego prawdziwy się stał, silny, zahartowany.

Któryś ze znajomych, poznawszy go, przywitał:

— Jak się masz Bączek? Żyjesz? He!

— Baczność! Nie wiecie, z kim mówicie. Patrzcie na ten zielony sznurek. Wiecie, co znaczy?!...

— Pardon, panie podoficerze! Nie wiedziałem nic a nic o randze!

— A tak, mam już rangę. A nawet i konika mam. Zobaczycie, jaki ładny. Tylko przyjdźcie na kwaterę do mnie. Na koniku teraz jeżdżę... He... He... He!...

Zaprosił nas na herbatę do restauracyi. Usiedliśmy przy stole, Bączek zamówił przekąskę dla siebie i dla nas herbatę.

I poczęły się opowiadania o tem, co się przeszło, co widziało. Jeden drugiemu wywnętrzał się ze swoich planów, co w przyszłości, po wojnie będzie czynił — o ile naturalnie dożyje. Z tematu na temat rozmowa zeszła i o rodzinach naszych, które pozostały przeważnie w miastach zajętych przez nieprzyjaciela. Kombinowaliśmy rozmaite rzeczy.

Bączek przysłuchiwał się tej rozmowie, przytem westchnął głęboko.

— Cóż wam jest? — spytałem go.

— Nic!...

— Jakto nic!? A czemu tak wzdychacie.

— O rodzinie myślę! Nie wiem, co z nią słychać. Od sierpnia nic a nic nie wiem o nich.

— A gdzie byli?

— W Jarosławiu!...

— Nie wiem... — mówił dalej — co z nimi się stało, co się dzieje. Może zginęli, może gdzieś poniewierają się, martwią się o mnie.

Wywnętrzył się przed nami, otworzył swoją duszę. Oto kiedy rozeszła się pogłoska o wojnie z Rosyą i Legionach, koniecznie się napierał, aby iść także. Ale rodzice jego, bogaci kapitaliści w Jarosławiu, sprzeciwiali się temu zamiarowi, że za młody i za szczupły. Tak też pewnego dnia spakował manatki, cichaczem wysunął się z domu, pieniędzy trochę uskładanych poprzednio ze sobą wziął, kupił bilet do Krakowa.

Jednak rodzice spostrzegli nieobecność jego i domyślając się, co zamierza zrobić, przybiegli na dworzec kolejowy w chwili, kiedy pociąg już odjeżdżał ze stacyi. Wychyliwszy głowę z wagonu zobaczył ostatni raz matkę swoją zapłakaną, stojącą na peronie, z rozpaczą spoglądającą w stronę odjeżdżającego pociągu.

— Tak mi przykro nieraz i smutno — kończył — żem się ani z rodzicami nie pożegnał, nie uprosił ich, aby mi pozwolili iść.

Umilkł, zadumany spoglądał w okno. Poczęliśmy go pocieszać, żeby się nie martwił zbytecznie, że, da Bóg, po wojnie odszuka rodziców, a wówczas oni z pewnością chwalić go będą i cieszyć się ze swojego syna.

— Jestem przekonany, że oni są w Jarosławiu! — przemówił po chwili. — Tylko o to się lękam, aby ich Moskale nie zabili, bo te dranie na nic nie zważają. Mam zamiar postarać się o jednomiesięczny urlop, aby dostać się do Jarosławia.

— Jakto chcielibyście dotrzeć teraz do Jarosławia?

Mam taki zamiar!

Poczęliśmy mu odradzać, aby skwitował z tego zamiaru, ale on tylko uporczywie głową potrząsał.

— Wy wiecie swoje! Ja wiem to, co mnie boli!

Po wypiciu herbaty rozeszliśmy się, pożegnawszy serdecznie. Uścisnął nam gorąco dłonie i szybkim krokiem pomaszerował na kwaterę.

* *

Nie widziałem go już potem i nie wiem, czy zamiar swój wykonał, czy też do pułku wrócił.

Szpital forteczny nr. 9 w Krakowie.

W poprzednich numerach naszego pisma pomieściliśmy zdjęcia fotograficzne wraz z objaśniającym tekstem, przedstawiające urządzenia różnych krakowskich szpitali fortecznych i pokrewnych instytucyi humanitarnych, stwierdzając, iż funkcyonują wszystkie wzorowo i mogą uchodzić za wzór tego rodzaju urządzeń.

Nic w tem dziwnego, zarząd wojskowy nie szczędzi bowiem kosztów na należyte wyposażenie ich we wszystko, co tylko na tem polu powstało nowego, personal zaś, czyto lekarski, czy samarytański lub administracyjny, dokłada wszelkich sił, by należycie wywiązać się ze swego trudnego, ale zaszczytnego zadania.



Szpital forteczny nr. 9 w Krakowie: Przed operacyą.

Tysiące chorych i rannych, którzy już, jako ozdrowieńcy, opuścili te zakłady, to najwymowniejszy dowód, iż wszystko postępuje tu, że użyjemy wyrażenia fachowego, *lege artis*, to jest odpowiada najzupełniej najdalej nawet idącym wymogom sztuki lekarskiej i jej pokrewnych.

Krakowskie szpitale forteczne, urządzone z chwilą wybuchu wojny obecnej, pomieszczone są wprawdzie nie w budynkach specyalnie na ten cel przeznaczonych, lecz w gmachach publicznych (n. p. szkoły) i prywatnych, mimo to przecież postarano się o to, by chorym na niczem nie zbywało, by mieli odpowiadające wymogom hygieny sale, jasne i przewiewne, i pod ręką wszystko, co w danym razie może być koniecznie potrzebnem, więc pokoje ordynacyjne, sale operacyjne, aptekę i t. d.



Szpital forteczny nr. 9. w Krakowie: Sanitaryuszki przy opatrunku chorego na oddziale dra Klęsia.



Szpital forteczny nr. 9 w Krakowie: Lekarze i pielęgniarki.



Szpital forteczny nr. 9. w Krakowie: Podczas popołudniowej wizyty.



Szpital forteczny nr. 9 w Krakowie: Badania chorego.



Szpital forteczny nr. 9 w Krakowie: Służba sanitarna.

Do rzędu ich należy także szpital forteczny nr. 9, obejmujący aż pięć obszernych budynków, a pozostający pod komendą lekarza sztabowego, dra Kostyala. Tutaj, jak zresztą wszędzie, urządzenie jest pod każdym względem wzorowe, zastosowano bowiem, jak to już wyżej wspomniano, wszystkie najnowsze zdobycze sztuki lekarskiej i techniki.

Zwłaszcza oddział chirurgiczny, który pozostaje pod kierownictwem znanego i cenionego krakowskiego chirurga, dra Adolfa Klęska, stoi w zupełności na wysokości swego zadania. Sale operacyjne nie ustępują w urządzeniu nawet prywatnym lecznicom, przynosząc istotną chlubę wysokiemu poziomowi, do którego zdołała dojść nasza medycyna, wykaz zaś przeprowadzonych zabiegów operacyjnych, nieraz bardzo ciężkich, mógłby śmiało rywalizować z tego rodzaju spisem z której z pierwszorzędnych klinik zagranicznych. Dali temu wyraz wizytujący zakład operatorzy z Wiednia, jeneralny lekarz sztabowy, dr. Hordyński i admirał, lekarz sztabowy, br. Eiselberg, którzy nie szczędzili personalowi słów uznania i zachęty do dalszej tego rodzaju owocnej pracy.

W szpitalu z grona krakowskich lekarzy zajęci są nadto doktorzy medycyny Jaugustyn, Weissglas i Zakrzewski.

Szereg illustracyi, jakie w niniejszym numerze zamieszczamy, zapozna Czytelnika z ruchem, jaki tutaj panuje.

Z nad Dunajca.

Z chwilą, gdy nawała rosyjska zmuszoną była cofnąć się z pod Krakowa, dokąd, jak się przechwalano, miano wkroczyć jeszcze przed Swiętami Bożego Narodzenia (zapomniano jednak dodać, jakiego stylu...), zaczęło się Moskalom w Galicyi coraz bardziej niepowodzić.

Miejscowa ludność, sterroryzowana przez nich w czasie pochodu naprzód, na widok wracających w pospiechu zastępów, albo chowała się po lasach, albo też odnosiła się wprost wrogo wobec najeźdźcy, z tyłu następowały na pięty kolumny austryackie i niemieckie, popierane nader skutecznym ogniem „grubych wujków" i innej ciężkiej artyleryi.

W myśl tradycyj i zasad sztuki wojennej, iż należy utrudniać pościg za sobą nieprzyjacielowi, niszczyli też Moskale po drodze wszystkie mosty i drogi, nie na wiele im się to przecież zdało. Krok za krokiem postępowały za nimi nasi dzielni żołnierze wraz ze swymi sprzymierzeńcami, wypierając ich krok za krokiem z zajętych pozycyi.

Widoczny znak przemarszu swego w okolicy Tarnowa pozostawili też, wysadzając w ucieczce ko-



Szpital forteczny nr. 9. w Krakowie: Choinka i ołtarz na sali chorych.



Z nad Dunajca: Wysadzony w powietrze przez uciekających Moskali most kolejowy na Dunajcu pod Tarnowem.



Obrazki wojenne: Barykada francuska na drodze w Wogezach.



Nowoczesna artylerya przy pracy: Stanowisko obserwacyjne niemieckie podczas ostrzeliwania pozycyi francusko-angielskich pod Ypern.



Obrazki wojenne: Tren austryacko-węgierskiej armii, wjeżdżający do zdobytej Limanowy.



Obrazki wojenne: Przenoszenie zwłok poległych żołnierzy do wspólnego grobu.

lejowy most na Dunajcu i uniemożliwiając w ten sposób komunikacyę w stronę Tarnowa.

Walka w tej okolicy była nad wyraz zaciętą, o każdą piędź ziemi walczono nader zawzięcie. Szala zwycięstwa przechyliła się wreszcie na naszą stronę. Moskale musieli się cofnąć.

Korzystając z oddalenia się wroga, rozpoczęto zaraz energiczne roboty około naprawy uszkodzonych przęseł, by na razie zaprowadzić ruch bodaj prowizoryczny. Praca to bardzo ciężka, dają sobie przecież radę z nią nasi dzielni saperzy, którzy na tychmiast po usunięciu się wroga przybyli na miejsce i wzięli się do dzieła.

Z chwilą, kiedy na linii Tarnów-Kraków będzie podjęty ruch normalny, ułatwione zostaną w tę stronę transporty wojsk i materyału wojennego, co musi wpłynąć na przyspieszenie ostatecznej decyzyi.

Taki sam los spotkał i most dunajcowy pod Starym Sączem, z tą przecież różnicą, iż wysadziło go w powietrze nasze wojsko, by w ten sposób przeszkodzić posuwaniu się naprzód Moskali.

Nowoczesna artylerya przy pracy.

Minęły te dawne, dobre czasy, gdy to wojny trwały nawet po lat trzydzieści, a walczący rycerze ścierali się ze sobą piersią w pierś. Dziś można śmiało powiedzieć, że walkę toczy się „na niewidzianego“, każda bowiem ze stron operujących stara się o to, by wynaleźć pozycye, o ile możności nie mogące tak łatwo wpaść w oko nieprzyjacielowi.

Główny też nacisk kładzie się obecnie na walkę artyleryi. Kto ma ją lepszą i wyposażoną w cięższe działa, ten może być pewnym zwycięstwa. Dowodem tego zwycięski pochód Niemców przez Belgię i tryumf ich „pilnych Bert“ i naszych „grubych wujków“.

Jednem słowem, dziś walczy głównie umysł ludzki, osobiste męstwo zeszło już na drugi plan i ma znaczenie tylko przy bezpośredniem starciu się z wrogiem, do czego stosunkowo rzadko przychodzi.

Aby dać wyobrażenie Czytelnikom, jak wygląda, bodaj w przybliżeniu, nowoczesna walka, podajemy w dzisiejszym numerze illustracyę, przedstawiającą stanowisko obserwacyjne artyleryi niemieckiej w Zachodniej Flandryi, nieopodal Ypern.

Na skraju lasu, na jednem z najwyższych drzew, urządzono prowizoryczną wieżę obserwacyjną, na której umieszczono oficerów, zaopatrzonych w doskonałe szkła i połączonych przy pomocy telefonu polowego z bateryą, która znajduje się gdzieś daleko w głębi lasu, lub poza nim, tak jednak ukryta, by jej nie dojrzał ciekawy lotnik.



Nowoczesna artylerya przy pracy. Wieża wodna w Zeebrügge stanowiąca doskonały cel dla armat angielskich, w chwili wysadzenia jej w powietrze przez Niemców.

Gdy stanowisko nieprzyjacielskie dokładnie już oznaczono, zaczynają grać armaty, a obserwatorzy na wieży badają ich skutek i zawiadamiają o tem natychmiast telefonicznie komendanta bateryi.

Wobec tego tłumaczy się dopiero, jakie znacze-



Z nad Dunajca: Most na Dunajcu pod Starym Sączem, zniszczony przez nasze wojska.

nie w nowoczesnej walce artyleryi mają pewne stałe punkty, mogące być użytymi przez nią do kierowania się przy obieraniu celu. Takimi przedmiotami mogą być wieże kościołów i zamków, osobno stojące budynki, nawet drzewa i krzewy, o ile są oznaczone na mapie Obserwator donosi, jak daleko mniej więcej padł pocisk od danego objektu, komendant bateryi przez obliczenie wie, jak kierować wylotem armaty, by skutek był pewny.

Druga ilustracya, którą pomieściliśmy w tym numerze, przedstawia właśnie wieżę wodną w nadbrzeżnej miejscowości Zeebrügge, która marynarce angielskiej służyła jako doskonały cel przy ostrzeliwaniu pozycyi niemieckich.



Obrazki wojenne: Jeniec rosyjski, wzięty do niewoli pod Limanową, opatruje swego rannego kolegę.

Nie pozostawało więc nic innego, jak wysadzenie jej w powietrze i tą właśnie chwilę uwidoczniono na naszej rycinie.



Obrazki wojenne: Oficerowie głównej komendy niemieckiej przed pałacem jednego z polskich arystokratów w Królestwie Polskiem.

Odwiedziny Hindenburga.

Jenerał Hindenbnrg, główny wódz armii niemieckiej, operującej na terenie Królestwa Polskiego, pogromca Rennenkampfa, Samsonowa i tylu innych jenerałów rosyjskich, bożyszcze dzisiejszych Niemców, a postrach Moskali, to człowiek taki sam przecież, jak i każdy zwykły śmiertelnik.

Że wojna jest jego żywiołem, to rzecz pewna, dał tego zresztą namacalny dowód nad jeziorami mazurskiemi, poza wojennem rzemiosłem znajduje przecież na wszystko czas i nie omija żadnej sposobności, by, o ile tylko nadarzy się ona, zamanifestować, że dba o swoich żołnierzy nie tylko w szeregu, ale los ich obchodzi go i poza nim, zwłaszcza, jeżeli zranieni na polu bitwy leczą się w szpitalach.

To też, ilekroć znajdzie się w jakiejś miejscowości, gdzie jest szpital lub podobna instytucya, odwiedza ją, wypytując troskliwie żołnierzy, co im dolega i pocieszając, ba nawet nie gniewa się, jeśli personal szpitalny poprosi go, by, celem upamiętnienia chwili, pozwolił się wraz z nimi fotografować.

Na to znajduje zawsze i czas i ochotę, nic też dziwnego, że zyskuje sobie coraz większe i szersze sympatye wśród swego społeczeństwa.

Tego rodzaju chwilę przedstawia nasza illustracya.

Widzimy na niej marszałka polnego, Hindenburga, w otoczeniu całego szpitalnego personalu, podczas zwiedzania przezeń lecznicy związkowej, urządzonej przez Zakon Joannitów na zamku w Pniewach (Pinne) w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.



Karabiny maszynowe: Karabin maszynowy na pozycyi gotowy do strzału. Poniżej widać zasieki z kolczastego drutu.



Odwiedziny Hindenburga: Marszałek polny, Hindenburg (X), po zwiedzeniu szpitala Joannitów w Pniewach (Pinne).

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

1

Adam pozałatwiał jeszcze ostatnie sprawunki, spakował swe rzeczy do nowej walizy i pojechał. W pociągu, kilka kwadransów wydało mu się miesiącem. Był swym nagłym wyjazdem nieco podniecony. Jechał po raz pierwszy w życiu na „guwernerkę“. Oddawna słyszał, że tego rodzaju korepetycya nie należy do rzeczy najmilszych wogóle, a jeszcze gorzej, jeśli się trafi na niezbyt miłe stosunki. Trzeba znieść niejedną przykrość, niejedno gorzkie słowo posłyszeć, a odpowiedź zamilczeć...

Dla chleba.

Tego się najwięcej obawiał. Był ogromnie wrażliwym i w obejściu z wszystkimi będąc bardzo uprzejmym, tego samego domagał się w odniesieniu do własnej osoby. Był naturą hardą, nie znosił, aby ktokolwiek dawał mu odczuć, że jest jego dobrodziejem, że jest na jego łaskawym chlebie. Wolał pracować ciężko, ponad siły, aby być niezależnym i mieć to wewnętrzne przekonanie, że to, do czego doszedł, to owoc ciężkiej pracy i własnych trudów.

W Granicy oczekiwał go wolant w parę zaprzężony koni. Dworski woźnica ułożył w tyle powozu jego bagaż, następnie rozpiął nad wolantem ceratowe nakrycie od deszczu i ruszyli.

Na deszcz się zanosiło. Czarne chmury całkowicie pokryły nieboskłon i lada chwila groziły ulewą. Ta niepewna pogoda do pewnego stopnia popsuła Adamowi niezły dotąd humor.

— Pięknie! — pomyślał — sześć godzin w ceratowej budzie... śliczna perspektywa!

Jakby na żart z jego poważnych rozmyślań zaczęło grzmieć i deszcz lunął. Woda rzeką płynęła z chmur i z siłą wpijała się w ziemię — grzmot jeden za drugim przerywał monotonny szum spadającego deszczu, jego uderzeń w ziemię i ceratowe nakrycie wolanta.

W jednej chwili droga zmieniła się w koryto powyżłabiane w najrozmaitszych kierunkach, którem, niby rzeka, płynęły masy wody. Powietrze gwałtownie się oziębiło i grad dużemi ziarnami jął bić w nieszczęsny pojazd.

Droga stawała się coraz gorszą. Konie zmoczone, zmęczone straszną wichurą, zwalniały. Sytuacya jadących stawała się z każdą chwilą przykrzejszą. Przez ceratową osłonę poczęła się woda z początku sączyć kroplami, potem coraz większemi strugami zlewała siedzenie i jadącego. Adam wciągnął pospiesznie na letnią zarzutkę płaszcz podróżny, ale i to nie na długo pomogło. Był przemoczony do ostatniej nitki. Zimny dreszcz wstrząsał nim od czasu do czasu, nasuwając mu wspomnienia niedawno przeżytych przykrych chwil.

Z początku irytował się, wymyślał na cały świat i porządek ziemski — w pewnej chwili chciał nawet kazać woźnicy zawracać, ale beznadziejność sytuacyi odebrała mu resztę energii. Z rezygnacyą oparł się o przemoczone oparcie i zamknął oczy. Zaczął poddawać się losowi.

Chwilami zdawało mu się, że płynie łodzią po spienionej, mętnej rzece — że nurt jej porywa go coraz silniej i silniej — chce się bronić, wytęża siły, opadają go. Ogląda się za pomocą, szuka oczyma jakiej spokojnej, cichej przystani — nie ma jej... Musi więc dalej płynąć wśród tej mętnej fali... ale z nią walczy, mocuje się... lecz nie widzi końca... sam jeden, sam jeden...

Żeby choć przy nim kto usiadł u steru, sił mu, otuchy dodał. Jednej bratniej duszy... — szepcze — bez echa...

Tylko brudne fale szumią i szumią... a rwą... To życie!

Deszcz zaś nie ustawał ani na chwilę. Grzmoty, przerywane od czasu do czasu błyskami i ogłuszającym hukiem piorunów, towarzyszyły ulewie bez przerwy.

Zaczęło to Adama doprowadzać do rozpaczy. Zimno stawało się — w przemoczonej odzieży — nie do zniesienia.

W pewnej chwili podniósł się z siedzenia i, wychyliwszy głowę z pod ceratowej budy, zaczął pytać woźnicę:

— Czy my tak bez końca pojedziemy po tej ulewie? — krzyczał przytem głośno, chcąc, ażeby woźnica cokolwiek wśród burzy zrozumiał.

Woźnica przechylił się w tył, wylewając na Adama z swego ceratowego płaszcza i kapelusza strugę wody.

— Jeszcze z pół godziny do karczmy, tam konie rozstawne.

Adam, zlany wodą, mruknąwszy coś z irytacyi, pospiesznie cofnął się z powrotem pod nakrycie. Dostał istnej febry i był przekonany, że się przeziębił. Na szczęście na polach cichło. Grzmoty, coraz rzadsze, słabły, a wicher, czasem tylko żałośnie wyjąc, przemykał.

Za chwilę zrobiło się cicho, tylko słychać było szum płynącej wzdłuż gościńca, wody. Niebo zaczęło się wyjaśniać, weselej było.

Konie ruszyły raźniej i niezadługo wjechały w podwórze zajazdu. Adam wyskoczył pospiesznie z powozika i wszedł do karczmy. Pusto tu było, a brudno. Za szynkwasem, po którym kot z flegmą spacerował, siedziała mała żydówka. Na widok wchodzącego, nie ruszyła się, ani nie zmieniła pozycyi, tylko oczy szerzej otworzyła i bacznie przyjrzała się przybyszowi. Za chwilę chłopak dworski wniósł kosz z wiktuałami, porozkładał wszystko na serwecie, nastawił samowar i zapadł gdzieś w kącie, a za chwilę słychać już było chrapanie śpiącego.

Adam był również umęczony. Przedewszystkiem pragnął się pozbyć mokrej odzieży, kazał więc wnieść swoją walizę i, wyjąwszy świeże ubranie, przebrał się w nie. Tymczasem woda ugotowała się, więc sporządził herbatę i, nic nie jedząc, zabrał się do niej. Dwie szklanki szybko się opróżniły i Adam już trzecią rozpoczynał, gdy woźnica, wchodząc do izby, dał mu znać, że konie gotowe. Zaspany chłopak pozbierał z powrotem wszystko do kosza i usadowił się na koźle.

Adam zostawił żydówce suty napiwek i, zapaliwszy papierosa, wsiadł do powozu. Jazda była teraz o wiele przyjemniejszą. Wypogodziło się zupełnie i Adam mógł zachwycać się piękną okolicą. Jechał zapatrzony w kołyszące się łany zbóż, perłami skłące z nieociekłej jeszcze wody deszczowej. Rzadko w swej drodze napotykali wsi, częściej duże, gęste lasy. Żywiczna, aromatyczna woń unosiła się wokół i owiewała jadące dziecię miasta, a on wchłaniał ją z jakąś dziwną radością, dawno już dawno nie zaznawaną.

Nagle na skraju lasu dojrzał śliczną sarenkę. Stała chwilę, cudnie poważna i swe mądre, duże, smutne oczy utkwiła gdzieś w dali. Adam stanął, klasnął jak dziecię z radości w dłonie i... sarna zniknęła w gąszczu; tylko listki chwiejące się borówczanego krzewu świadczyły, że przed chwileczką stało tam cudne stworzenie.

Czemuż uciekła? — myśl mu się nasunęła — czy wszystko, co piękne i czyste, tak stroni odemnie?

Nie bądź sentymentalno-naiwnym — odszepnął mu drwiąco rozsądek — zestraszyłeś ją, więc uciekła, nie nawykła do miejskich zalecanek mieszkanka lasu.

Konie zwolniły, ciągnąc zaprzęg pod górę i w chwilę potem znaleźli się na szczycie wzniesienia i stąd powóz łagodną pochyłością jął się staczać w dolinę.

Śliczny stąd roztaczał się widok. Między dwoma długimi łańcuchami dość wysokich pagórków i wzniesień, lasami porosłych, dolina się wiła soczysto-żółtą barwą, odcinając się od ciemno zielonej plamy lasów. A na dnie niewielka rzeczka swe wody srebrzyste toczyła... Nad nią domostwa porozrzucane bieliły się swemi nizkiemi ścianami na tem tle zielonem.

Co za prześliczna gra barw! — myślał zachwycony Adam, oczu nie mogąc oderwać od tej w ciszy spoczywającej doliny.

W tej chwili odwrócił się woźnica i biczyskiem wskazał Adamowi dwór w Zbylitowie.

— Więc to tutaj Zbylitów? — spytał uradowany Adam.

— Tak panie!

— Śliczna miejscowość... śliczna miejscowość — powtarzał bez przerwy.

Dwór miał piękne położenie. W połowie przeciwległego wzgórza wznosił się okazały wielkością, a ujmujący swą prostotą. Był jednopiętrowy, symetrycznie zbudowany ze staropolskim gankiem w po środku i kolumnadą. Do dworu prowadziła długa na kilkaset metrów aleja lipowa.

— To jest nasza rodzinna estetyka! — pomyślał z dumą Adam i w myśli porównywał ten w swej prostocie prześliczny dwór z tą tandetą wiedeńską i pruską, której się tak skwapliwie uczepiliśmy.

Właśnie wjechali w lipową aleję i za kilka minut stanęli w podwórzu pałacu. Na spotkanie przybywającego wyszedł jakiś jegomość szpakowaty, średniego wzrostu, w wysokich butach, w którym domyślił się Adam rządcy.

Uchylił kapelusza i przedstawił mu się.

— Jestem Adam Drzemirski, student filozofii.

— Wiem, wiem, mój panie... z Krakowa, z Krakowa, bardzo się cieszę, bardzo... bo sobie człek przypomni swoje młode lata... byłem i ja w krakowskiej akademii.. Rafał Klimowicz — i silnie uścisnął prawicę Adama. — Ale się pan umęczył drogą? He... he... bo to pan pewnie nigdy w życiu taki szmat drogi końmi... te, tego... co?

— Trochę jestem rzeczywiście zmęczony drogą, ale...

— Nic to, wyśpi się pan wygodnie, jak Bóg przykazał i... te... tego, jutro zdrów, jak ryba. Będzie pan spał, jak suseł... kazałem panu przygotować pokój w willi... te, tego... to jest, widzi pan, ten domek parterowy w ogrodzie. Tam zaraz pójdziemy...

I wolno poszli w ogród.

Ogród był ogromny, zostawiony w naturalnym stanie, bez żadnych angielskich szpalerów, wodotrysków; przed samym tylko dworem był mniejszy ogródek kwiatowy.

Domek, w którym miał Adam zamieszkać, bardzo sympatyczne czynił wrażenie. Były w nim dwa pokoje — jeden większy o trzech oknach, drugi znacznie mniejszy, o dwóch.

— Teraz waćpan może wybierać, który się panu więcej podoba, oba są wolne.

— Prosiłbym o ten mniejszy — rzekł Adam.

— I ja tak myślałem, że się ten lepiej nadaje i w nim kazałem poczynić pewne przygotowania.

Pokój był kwadratowy; w dwóch sąsiadujących ze sobą ścianach miał duże weneckie okna, przysłonięte białemi firankami. Przy jednem z okien stało niewielkie biurko, a obok mała etażerka z książkami. Kilkanaście ich było.

— Moja córka to powybierała z biblioteki, nie wiem nawet, czy się tam co znajdzie dla pana — mówił pan Rafał, rozsiadłszy się w jednym z foteli.

— Tak? Bardzo jestem wdzięczny, lubię czytać wieczorami. Przywiozłem też sporo swoich książek.

— Pewnie nowości! To się moja Zosia ucieszy, bo ona za lekturą przepada, a u nas tak trudno o nowe książki.

— Chętnie będę służył mojemi.

— Nie mogę jej, panie, te... tego... wybić tej poezyi z głowy... strasznie to romantyczne. Nawet nie wiem, po kim się to... to takie zrodziło. Ja, jak byłem młody, to łatwiej mi przyszło szablisko w garść złapać... niejeden tam te... tego nosi na łbie po mnie pamiątkę!

— Zmieniły się, panie, czasy i warunki. Zresztą natura... temperament...

— Tak, panie, ten... tego, ale wy teraz, to tylko w niebo patrzycie, na księżyc z ukradkiem spoglądacie, a po ziemi zapominacie chodzić — dowodził pan Rafał, wpadając widocznie w ulubiony temat gawędy.

Ale Adam, zmęczony, rzadko odpowiadał, rozkładając z walizy przywiezione rzeczy.

Widocznie to zauważył i pan Rafał; wstał z fotelu, a wychodząc, zaprosił Adama do siebie na kolacyę, ale ten się wymówił zmęczeniem.

— — — — — — — — — — — — —

Obudził go po nocy śliczny, uśmiechnięty ranek. Zapach skoszonej, schnącej trawy wpadał z ogrodu przez okna i mieszał się z delikatną wonią róż karminowych, ustawionych w kloszu na stoliku. Z ogrodu, z wiośnianą falą powietrza wpadał wesoły świergot ptactwa, a za nim z dali dolatywały wesołe śmiechy. Dziecięce głosy drżały pustotą i taką swobodną beztroską, że Adamowi mimowolnie twarz się wypogodziła, a usta złożyły do uśmiechu.

Wokół niego od życia i szczęścia kipiało.

Na rozwartem oknie usiadł wróbel i, malutkim łebkiem pocieśznie kręcąc, świergotał, a raz wraz do do pokoju zaglądał. Jeszcze raz i drugi przechylił główkę i lekko zleciał na posadzkę pokoju. Rozglądnął się uważnie wokół, a nie znajdując nic podejrzanego, z całą swobodą jął uganiać po pokoju. Z podłogi skoczył na biurko, potem na stolik, na którym stały róże, zaświergotał wesoło i na łóżku się znalazł. Adam nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Uczuł nieprzepartą chęć złapania w swe ręce tego kipiącego życiem stworzenia i wypieszczenia go. Uniósł się szybko z posłania, wyciągnął momentalnie ręce, lecz ptaszę, zwinne jak strzała, zemknęło do ogrodu.

Śmiechy w ogrodzie nie ustawały, coraz zbliżając się do „willi“.

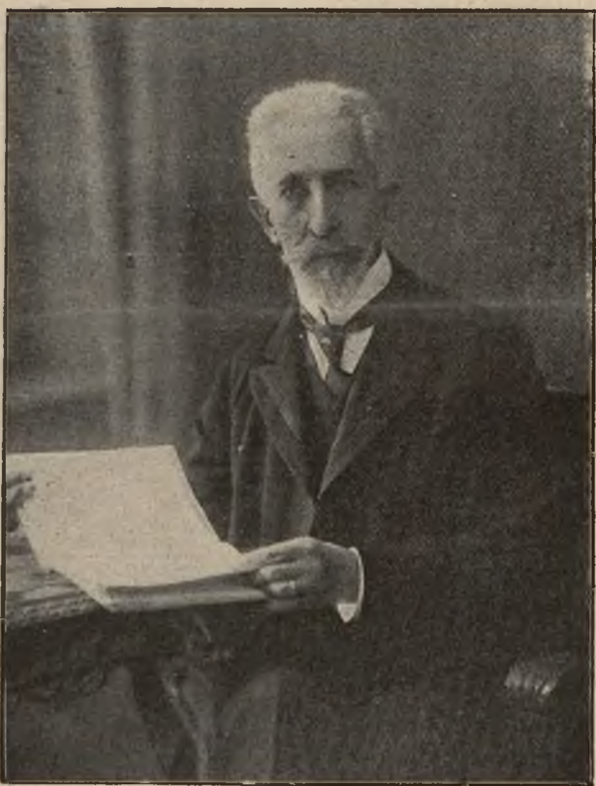
Słońce zaczynało już na dobre dogrzewać, musiało być dosyć późno. Adam wyskoczył z łóżka i wesoło pogwizdując ubierał się. Zaledwie ukończył porządkowanie swej garderoby, gdy do drzwi ktoś silnie zapukał. Pan Klimowicz przyszedł go zbudzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zmiany w kierownictwie Krakowskiej Gazowni Miejskiej.

Z dniem 1. stycznia b. r. ustąpił z zajmowanego chlubnie od szeregu lat stanowiska dyrektora Krakowskiej Gazowni miejskiej inż. Mieczysław Dąbrowski.

Ur. w roku 1853 w Paryżu, syn wychodźcy



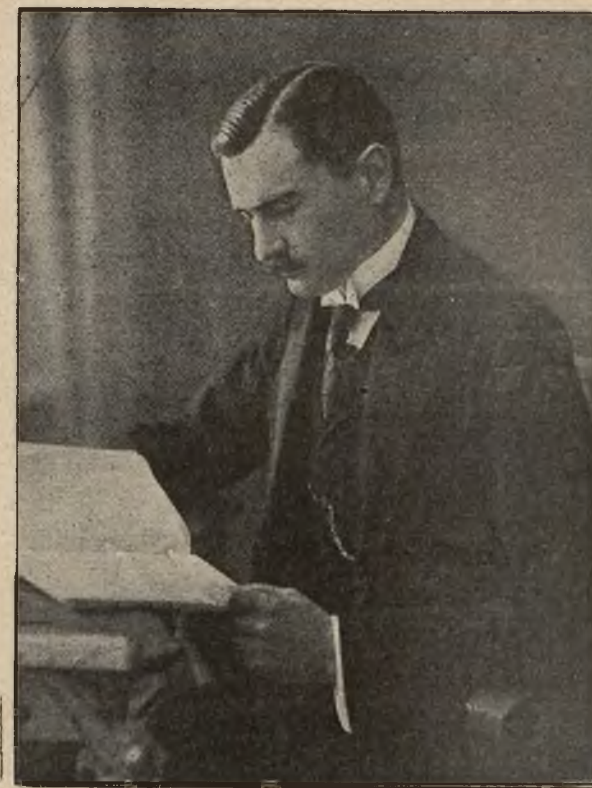
Zmiany w kierownictwie Krakowskiej Gazowni Miejskiej: Ustępujący dyrektor, inżynier Mieczysław Dąbrowski

z roku 1818, Aleksandra Junoszy Dąbrowskiego i Eleonory z Zielińskich, przeszedł szkoły średnie w gimnazyum filologicznem w Kaliszu i na kursach technicznych szkoły polskiej na Batignolles, a następnie rok przygotowawczy do studyów wyższych w szkole wyższej polskiej na Montparnasse w Paryżu. Nauki te przerwała wojna w roku 1870 –71 i oblężenie stolicy Francyi. Po wypadkach Komuny paryskiej wrócił do kraju i w Krakowie ukończył c. k. Instytut techniczny. W początku roku 1876 wstąpił do służby technicznej w krakowskiem Budownictwie miejskiem, gdzie pracował dziesięć lat, z początku przy budowie szkół, potem jako kierownik działu bruków, dróg i mostów pod zwierzchnictwem dyrektora Macieja Moraczewskiego, c. k. Radcy Dworu, b. szefa budownictwa rządowego w Galicyi. Polecony przezeń, został w r. 1885 wysłany, jako inżynier miejski, na półroczną praktykę w gazowniach praskich, a w r. 1886 powierzyła mu Rada miasta kierownictwo w nabytej od Tow. dessauskiego gazowni krakowskiej. Zastał zakład mały, wytwarzający milion metrów sześciennych gazu rocznie, a doprowadził tę produkcyę po 28 latach powiększenia i przebudowania do 7 milionów; w tym samym stosunku rosły i dochody Gminy z tego przedsiębiorstwa. Obok czynności zawodowych pracował usilnie w Krakows. Towarzystwie technicznem, którego był wieloletnim sekretarzem, a w r. 1879 prezesem, a także w „Sokole“ krakowskim, zajmując przez szereg lat miejsce w wydziale, jako przewodniczący sekcyi skarbowej. Należał do urządzających I Zjazd Techników polskich w Krakowie w r. 1883, a w r. 1901 I Zjazd przemysłowy w tejże starej stolicy. Prócz mniejszych prac osobnych i artykułów w czasopismach fachowych wydał następujące prace: „Pamiętniki I. Zjazdu Techników polskich. Kraków 1884“, „Plan K. m. Krakowa“, (wyd. H. Mülnera), dziełko o drogach i brukach miejskich, „Przewodnik illustrowany po Krakowie“ (z prof. Wł. Ekielskim) dla III. Zjazdu T. p. „Pamiętnik I Zjazdu przemysłowego“. Kraków 1901. „Księgę pamiątkową w 25 letni jubileusz Krakowskiego Tow. technicznego 1902“. Dbał o podniesienie i popieranie rozwijającego się przemysłu krajowego, zyskując za to dowody uznania na krajowych wystawach.

Z nazwiskiem Jego łączy się ściśle rozwój Gazowni w Krakowie, wybudowanej w r. 1857 przez Towarzystwo Dessauskie, a nabytej w r. 1886 przez Gminę miasta Krakowa.

Inż. Mieczysław Dąbrowski, jako pierwszy dyrektor tego największego zakładu miejskiego, objął kierownictwo Gazowni w roku 1886 i od tego czasu bez przerwy kierował nią przejęty obywatelską myślą pracy dla dobra ukochanego, prastarego grodu i jego mieszkańców. Cały szereg ulepszeń w dziedzinie produkcyi i konsumcyi gazu, wprowadzonych przez ustępującego dyrektora, wpłynął w wysokim stopniu na wzrost zapotrzebowania gazu, nieodzownego już dzisiaj produktu dla każdej kulturalnej jednostki.

Rozwój krakowskiej Gazowni miejskiej pod wzorowem a umiejętnem kierownictwem ustępującego dyrektora był finansowo i technicznie zgoła nieoczekiwany. Dużoby o tem mogły powiedzieć dochody, przelewane rok rocznie z kasy Gazowni, do Kasy miejskiej. W ciągu lat 28 kilkakrotnie przebudowany, produkuje obecnie zakład przeszło 7 milionów m^3, t. j. ilość siedmiokrotnie większą od tej, jaką produkował w chwili nabycia przez Gminę. Zakład, który przed 28 laty zatrudniał kilku urzędników i kilkunastu robotników, daje obecnie zatrudnienie kilkudziesięciu urzędnikom i kilkuset robotnikom. Dyrektor Mieczysław Dąbrowski odnosił się do konsumentów i dostawców, zwłaszcza krajowych, z największą życzliwością i wyrozumiałością, a jako prze-



Zmiany w kierownictwie Krakowskiej Gazowni Miejskiej: Nowy dyrektor, inż. Mieczysław Seifert

łożony otaczał opieką i życzliwością podwładnych sobie urzędników i robotników. To też 17 stycznia b. r. żegnali Go z żalem, wyrażając przekonanie, że i nadal w pełnem zdrowiu pracować będzie na niwie ukochanych przez siebie nauk technicznych.

Kierownictwo Gazowni po ustąpieniu dyrektora Dąbrowskiego objął były dyr. Gazowni miejskiej w Stryju, inż. Mieczysław Seifert.

Do niedawna jeszcze w opinii publicznej przeważało mniemanie, że gaz może być użyty tylko do oświetlenia ulic, pomieszkań i t. d. Nie przypuszczano nawet, że w niemniejszej mierze może znaleźć i znajdzie zastosowanie do gotowania, grzania, a nawet do popędu maszyn w przemyśle. Z wyników licznych



Zmiany w kierownictwie Krakowskiej Gazowni Miejskiej: Grupa urzędników Krakowskiej Gazowni Miejskiej z ustępującym (X) i nowym dyrektorem (XX) w pośrodku.

prób okazuje się, że koszt gotowania na gazie bynajmniej nie jest wyższy od kosztu przypadającego na węgiel lub drzewo. I tak teoretycznie 1 m³ gazu można okrągło ogrzać do wrzenia około 60 litrów wody o temperaturze pokojowej 15° C., podczas gdy 1 kg. węgla można ogrzać 90 litrów wody. Przyjmując wyzyskanie węgla w piecach na 20%, otrzymamy dla gazu wyzyskanie energii cieplnej na 80 do 90%. Opalanie gazem przedstawia i inne korzyści, a mianowicie zdolność użycia tej energii każdej chwili i w każdej potrzebnej ilości. Odpada więc marnowanie opału. Przez zamknięcie kurka gazowego następuje natychmiastowe przerwanie dopływu tej energii. Natychmiast po zapaleniu płomienia otrzymuje się temperaturę żądaną, którą można przez czas dowolnie długi utrzymać. Przez mniejsze lub większe otwarcie kurka gazowego można temperaturę w dowolnych granicach zwiększać lub zmniejszać. Największa jednak zaleta płomienia żarowego polega na tem, że po użyciu można go zgasić, przez co nie traci się bez potrzeby ciepła w takich ilościach, jak w kuchniach węglowych, w których zwyczajnie opał wypala się tak długo, dopóki zupełnie nie wygaśnie. Ze względu na te zalety, doskonale nadaje się gaz jako materyał opałowy do celów gospodarstwa domowego, przemysłu spożywczego, jak przemysł masarski, cukierniczy, piekarski, fabryki konserw, następnie do przemysłu drukarskiego, metalowego i t. d. Na wielką skalę znajduje gaz zastosowanie w hutach szkła. Ozdoby szklane, paciorki i t. d., a nawet lampki elektryczne żarowe fabrykuje się wyłącznie przy pomocy płomienia gazowego. Największa w świecie fabryka lamp elektrycznych „Niemieckie Tow. Auerowskie" zużywa do swych celów rocznie 5.000.000 m³ gazu, t. j. prawie tyle, co Kraków. Gaz zdobył sobie zatem prawo obywatelstwa zarówno w gospodarstwie domowem jak i w wielkim przemyśle. Niegdyś stanowił on potrzebę zamożnych, dzisiaj stał się koniecznością warstw najuboższych. Zaprowadzenie gazu w gospodarstwach domowych przyczyniło się w wysokim stopniu do uproszczenia pracy. Ze względu na to, że płomień gazowy nie kopci, ani też nie wydziela swędu, można go przy gotowaniu pod względem zawartości ciepła w zupełności wyzyskać. Tam, gdzie zapotrzebowanie wody ciepłej jest wielkie, jest korzystnie wytwarzać ją w aparatach gazowych, połączonych wprost z przewodami wodociągowymi. Przez aparat ten przepływa woda, a ogrzewając się płomieniem gazowym, wypływa jako woda ciepła lub gorąca. Do rozprowadzenia wody gorącej na pewne odległości nadają się tak zwane automaty gazowe, które również są połączone z przewodami wodociągowymi. Otwarcie kurka wodnego powoduje otwarcie wentyla gazowego, przyczem wypływający gaz zapala się od stale płonącego zapalacza, ogrzewa przepływającą wodę, która jako taka może być użytą zarówno do kąpieli, jak gotowania i t. d. Z chwilą zamknięcia kurka wodnego, przymyka się wentyl gazowy, a tem samem wypływ gazu ustaje. Ze względu na to, że spalanie materyału opałowego, t. j. gazu, tak długo trwa, jak długo potrzebne jest zapotrzebowanie wody ciepłej, aparaty te pracują nie tylko prędko, ale i ekonomicznie. Gaz może być również z korzyścią użyty w maszynach odpowiednich do prania i prasowania bielizny. Prasowanie bielizny żelazkami gazowemi tak się rozpowszechniło, że dzisiaj brak domu, któryby, mając instalacyę gazową, nie używał gazu do prasowania. Nie potrzeba nadmieniać, że prasowanie gazem jest bez porównania szybsze i wygodniejsze od prasowania żelazkami węglowemi. Gazowe piece kąpielowe ze względu na swoje zalety, t. j. łatwość w obsłudze i szybkość przyrządzania kąpieli, stały się koniecznością każdego mieszkania. Piece do ogrzewania w zupełności zastępują piece kaflowe, a mają tę wyższość, że dają się odpowiednio regulować i nie wymagają prawie żadnego dozoru. Piece te mogą być również uzupełnieniem dla domów, posiadających centralne ogrzewanie. Nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj o estetyce i hygienie oświetlenia gazowego.

Wynalazek Auera spowodował powstanie lamp żarowych, które zarówno pod względem spełnienia swego zadania, jak i wyglądu zewnętrznego, odpowiadały wszelkim wymogom. Efekta, uzyskiwane świecącą się w tych lampach siatką żarową, były wprost nieoczekiwane. W użyciu codziennem lampy te, zwłaszcza w dzisiejszych udoskonaleniach, w niczem nie ustępują elektrycznym, a na znaczne odległości przez pociśnięcie guziczka, podobnie jak elektryczne, łatwo się dają zapalać. Te palniki, tak o stojących jak i wiszących siatkach, z łatwością dają się umieścić w pojedynczych i ozdobnych świecznikach, o pięknym wyglądzie estetycznym, a zaświecone, wywołują piękne efekta świetlne. Mimo tych wszystkich zalet zwalcza się gaz, zwłaszcza w ostatnich czasach, zupełnie niesłusznymi argumentami. Zarzuca się mu bowiem, że spalając się, absorbuje tlen z powietrza. Chcąc zarzuty te odeprzeć, musimy zauważyć, że w pierwszym rzędzie przy ocenianiu dobroci danego rodzaju światła należy zwrócić uwagę na wpływ tegoż źródła światła, na wzrok i organa oddechowe. Oko ludzkie, przyzwyczajone do światła dziennego, nie łatwo znosi inne rodzaje światła. Przedewszystkiem światło gazowe ma tę zaletę, że nie wydziela szkodliwych dla wzroku promieni ultra fioletowych. Zarzut tyczący się zatruwania powietrza przez gazy spalenia lampy gazowej, również nie wytrzymuje krytyki. Prawdą jest, że do spalenia zużywa gaz tlen z powietrza, również prawdą jest, że wskutek spalenia wytwarza kwas węglowy, jednakowoż nie należy zapominać, że wydobywające się z lampy gazowej gorące produkty spalenia powodują bardzo intenzywną wentylacyę. Badania uczonych wykazały, że nie kwas węglowy, powstały ze spalenia gazu, tylko kwas węglowy, wydzielony przez ludzi w procesie oddychania, zatruwa powietrze substancyami organicznemi. Badania przez prof. Pettenkoff ra prowadzone wykazały, że jeden człowiek oddechem wydziela tyle kwasu węglowego, co pięć lamp gazowych. Ze względu jednak na to, że w ubikacyi ze światłem gazowem działaniem wysokiej temperatury gazów spalenia powstaje przez pory ścian, szpary w oknach, drzwiach i t. d. doskonała wentylacya, przeto przy świetle gazowem powstaje bardzo energiczna wymiana powietrza. Doświadczenia prof. Lewesa potwierdziły w zupełności tę teoryę. Odnośnie do innych zarzutów, stawianych przez przeciwników gazu, należałoby jeszcze wspomnieć o własnościach trujących gazu i zdolności do eksplozyi. Przyczyną zatrucia gazem i eksplozyi może być tylko rzadko spotykana nieszczelność rurociągu. Uchodzenie gazu wskutek nieszczelności można bardzo łatwo skonstatować nawet wtedy, kiedy zaledwie ślady gazu zaczęły uchodzić. Charakterystyczny zapach gazu jest w tych wypadkach sygnałem ostrzegającym. Zresztą zestawienia statystyczne wykazują daleko większą ilość nieszczęść, spowodowanych użyciem nafty, spirytusu i t. p., aniżeli gazu. Wszystkie zarzuty, którymi zwalcza się w dzisiejszych czasach gaz, należy brać tedy z największą rezerwą. Dzisiejszy rozwój gazownictwa, powstawanie licznych, ogromnych zakładów gazowych z milionowymi wkładami zagranicą jest najlepszym dowodem ogromnej żywotności tej gałęzi przemysłu, zajmującej w tryumfalnym pochodzie techniki jedno z miejsc pierwszorzędnych.

Rozwój Krakowskiej Gazowni miejskiej szedł w parze z postępami techniki gazowej, mogącej zadowolić najwybredniejsze wymagania, zarówno co do światła, jak i ciepła. Rzadko spotyka się u nas w Krakowie domy, nie zaopatrzone bądź to w światło gazowe, bądź też w przyrządy, służące do wyzyskania tej najtańszej energii cieplnej, jaką przedstawia gaz świetlny. Pod tym względem Gazownia czyni mieszkańcom miasta jak najdalej idące ulgi, wypożyczając za nieznacznym czynszem gazomierze, świeczniki, kuchenki do gotowania, piece gazowe itp. Okoliczność ta w dzisiejszych czasach, kiedy brak i drożyzna nafty dają się ogólnie odczuć, przyczyni się niewątpliwie do poważnego wzrostu liczby konsumentów gazu. Ciekawych informujemy, że:

1 godz. światła gaz. o sile 100 świec kosztuje 21·5 h
1 „ „ „ „ 50 „ „ 11·4 „
1 „ „ „ „ 30 „ „ 3·4 „
1 „ grzania na kuchence 1 płom. „ 5 „
1 „ „ „ „ 2 „ „ 10 „
ogrzanie 1 litra wody do wrzenia kosztuje około 1 „

Bliższe wyjaśnienia są zupełnie zbyteczne, cyfry bowiem mówią za siebie, a każdego, choćby najbardziej zaciętego przeciwnika gazu, muszą przekonać.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3.

Kryptogram: Kra krę mija, dom mija, prom mija, a ja nos trę.

Przysłowiówka: Czas płaci, czas traci.

Zadanie królewskie:

Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trzeba zlecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i świecić.

Trójkąt magiczny:

K U j e j s k i
U r n g w a j
J a b ł k o
E p o k a
J a w a
S a k
K u
I

Przekładanka:

U k r a i n a
J a d w i g a
E k w i p a ż
J a m a j k a
S a t r a p a
K o w a d ł o
I r y d y o n

Zadanie do przestawienia: Głupi daje, mądry bierze.

Kwadrat magiczny:

L a w a
A r o n
W o d a
A n a m.

Depesza: Co ma wisieć, nie utonie.

Przysłowiówka: Potrzeba nie czeka pogody.

Logogryf:

S ł o w a c k i
A r s z e n i k
R e n R e u s s
B o l e s ł a w
I n d y a n i e
E s e n t u k i
W i e l o r y b
S z w a j c a r
K o n w a l i a
I l l i n o i s

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Jasło, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów. A. Gross Kraków. J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków. J. Łopatkiewicz Jasło, Jan Górka Kraków. J. Ciszewski Jasło, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Praga. J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków. W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń. E. Laskowski Jordanów. T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń. H. Ungar Wiedeń. R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga. S. Rogalski Cieszyn, J Wilkosz Rzeszów, I. Brzostowski Krosno

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Medyński, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Oszczędność nie na miejscu.

Pani domu: Cóż to? Kasia przyniosła dziś tylko pięć bułek?

Kasia: Tak jest! Pani mówiła wczoraj, że musi się zacząć robić oszczędności, bo coraz cięższe czasy.

Pani domu: Bardzo ładnie!... Ale nie na bułkach! Bułki daje nam piekarz jeszcze na kredyt! Oszczędzać musimy tylko na tem, co się kupuje za gotówkę!

U kabalarki.

Kabalarka (czytając w kartach): Mąż pani, który bawi teraz na wojnie, jest pani tak wiernym, jak pani jemu!

Żona (przerywając): A to łajdak! Niech tylko wróci, już ja się z nim rozprawię!...

W Londynie.

Konstabl: Panie! Pan wydajesz mi się być podejrzanym! Co pan tu robi? Czy nie szpiegujesz przypadkiem?

Obcy: Nie, panie! Ja jestem zawodowym włamywaczem. Chciałem się dostać do tego sklepu jubilerskiego!

Konstabl: W takim razie przepraszam!... Nie przeszkadzam!

Kronika tygodniowa.

Ulegając ogólnemu prądowi, jaki u nas od chwili wybuchu wojny można zauważyć, chciałem i w dalszym ciągu karmić Szanownych Czytelników okropnościami wojennemi. Niestety, sprawdziło się i na mnie stare przysłowie: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi“.

Miałem znów przygotowaną całą seryę najokropniejszych okropności, o których słyszałem na własne uszy i czytałem na własne oczy, tymczasem w ciągu ubiegłego tygodnia nadesłano mi cały stos listów i kartek, polowych i niepolowych, w których Czytelnicy zaklinają mnie na wszystkie świętości, nawet na mą miłość do teściowych, bym temu tematowi dał już spokój. I mają po części racyę. Którą gazetę otworzysz, czytasz tam o samych okropnościach, niech więc bodaj „Nowości Illustrowane“ stanowią wyjątek.

Jeden z interpelantów pisze:

„Panie! Czy wiesz Pan co to jest okropność? (Może miał na myśli parasol?... przyp. zecera). Jeśli Pan nie wie, to ja Panu powiem! Okropnością jest, jeśli człowiek w nocy zasnąć nie może, a jest to właśnie następstwem czytania tych okropności, o jakich ciągle piszecie! Wczoraj cały dzień chodziły mi po głowie burmistrzowskie buty, dziś w nocy, aż ciarki mnie przechodzą na samo wspomnienie, śniło mi się, że rozmawiam z całkiem żywym nieboszczykiem.

A kto temu winien?... Nikt, tylko Pan, razem ze swemi okropnościami!

I ciekawy jestem, dlaczego ja mam cierpieć, ja, który jestem od lat dziesięciu prenumeratorem „Nowości“, a z prenumeratą nigdy nie zalegałem, w bieżącym roku zaś, wiedząc o tem, na jakie Redakcya narażoną jest wydatki, zapłaciłem nawet z góry za cały rok!

Czy dużo takich macie? (Ho! ho! Na kopy się ich liczy!... przyp. zecera).

Jeśli więc masz Pan Boga w sercu, daj spokój tym okropnościom, pisz, co Ci się podoba, byle wesoło, bo smutków i tak dość na świecie“.

Przyznaję zupełną słuszność powyższym wywodom, a ponieważ jestem już taki od samego urodzenia, iż lubię wszystkim razem i każdemu z osobna iść na rękę, postanowiłem dzisiejszą kronikę poświęcić nie okropnościom, ale rozmaitościom.

Pisać więc będę *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, cierpię bowiem na wątrobę, czy to jednak będzie wesołe, nie wiem, bo ona, jak zapewniają nasze powagi lekarskie, stoi w ścisłym związku z humorem i bardzo silnie nań oddziaływa.

Wiem, że w ten sposób nie zadowolnię wszystkich, bo nie tak to dawno, jak zapewniała mnie jedna z dojrzalszych panienek (przekroczyła już, powiem w sekrecie, pięćdziesiątkę), iż moje kroniki podobałyby się może, gdyby bardziej ociekały krwią...

— Moim ideałem — mówiła — jest powieść, w której ostatni tom bohater dusi swą kochankę i jej całą rodzinę, potem wiesza się w przystępie rozpaczy, a wszyscy inni topią się w głębokim stawie!... Tak piszcie, to będzie zajmujące.

Niestety, ja do krwi czuję wstręt, nie lubię nawet krwawych kiszek, choć moja żona twierdzi, że są bardzo smaczne i zdrowe, a ona, jak ogólnie wiadomo, ma przecież zawsze racyę!

Ba, ale w takim razie o czem pisać? Dziś brak człowiekowi natchnienia, zwłaszcza, że ulegając konieczności, trzeba bawić się w porządnego człowieka i o dziesiątej sunąć w domowe progi, gdzie czeka na cię rozradowana magnifika i zirytowany stróż, który, jak sam powiada, od czasu wybuchu wojny i szóstki za „szperę“ nie zarobił!

Biedni oni! Słyszałem, iż mają podobno zamiar wnieść petycyę do kogo należy, by, albo zamykano lokale publiczne dopiero o jedenastej, lub też pozwolono pobierać ów podatek, zwany „szperą“ już od ósmej wieczór. Tak mi przynajmniej oświadczył mój stróż Walenty.

Tak! O dziesiątej musisz już być w domu, bo chyba nie znajdzie się amator, któryby chciał używać świeżego powietrza po błocie!... A cóż robić w domu, gdy się spać nie chce, zwłaszcza, jeżeli przyzwyczaiłeś się rzucać w objęcia Morfeusza dopiero koło północy?... Nie pozostaje nic innego, tylko, albo wdać się w rozmowę z rodziną, lub siąść spokojnie i zacząć co czytać.

Ale i jedno złe i drugie niedobre.

Zapytaj, ot tak ze żartu, co słychać nowego, — a tu zaraz, jakby na wyścigi, zacznie i żona i córki opowiadać, że widziały sędzinę, jaki ma kapelusz, żakiet, suknię, o mało, że nie zaglądały, czy nosi halkę, pończochy i t. d. A jedna stara się drugą przekrzyczeć, nie rozumiesz więc z tego ani słowa.

Gdy cię to znudzi, zaczną z innej beczki. Dowiesz się, jeśliś naturalnie ciekawy, co który ze sąsiadów jadł na obiad, a co na kolacyę, o czem mówiła służąca z pierwszego piętra z frontu, o czem zaś jej koleżanka z oficyny. Słowem, poczta pantoflowa funkcyonuje znakomicie i życzyćby sobie należało, by nasza, cesarsko-królewska, wstępowała w jej ślady.

Te babskie gadania tak cię wreszcie zmęczą, że, sam nie wiedząc kiedy, zaśniesz snem sprawiedliwego, francymer zaś, nic sobie z tego nie robiąc, trajkocze dalej, kontent, że nikt mu nie przeszkadza.

Jeszcze gorzej, jeśli nie lubiąc plotek, usuniesz się do swego pokoju i tam siadłszy, zabierzesz się n. p. do czytania. Jest to przyzwyczajenie bardzo niezdrowe, jak bowiem czytałem w jednym z listów, zamieszczonych w bardzo poważnym organie: „z siedzenia boli głowa“..

Hm!... Gdzie Rzym, gdzie Krym?... Co właściwie wspólnego może mieć głowa z siedzeniem, skoro już w normalnej uczono nas, że do tego celu przeznaczoną jest zupełnie inna część ciała. Chyba, że się to zmieniło, czyli, że nastały u nas amerykańskie zwyczaje, bo tam, jeśli mamy wierzyć opowiadaniom, podobno ludzie chodzą do góry nogami... Dla uspokojenia starych, moralnych panien, dodam jednak, że tylko mężczyźni!...

Wybierając jednak z dwojga złego, wybrałem mniejsze i od dwu prawie miesięcy urządzam co wieczór rekollekcye w swym pokoju, studyując zawzięcie wszystko, co mi drukowanego pod rękę wpadnie. Małżonka moja kpi sobie wprawdzie ze mnie od czasu do czasu i powiada z przekąsem:

— A co?... Przecież i wojna może się zdać na co! Czy byłbyś taki porządny, gdyby nie rozkaz komendy, by zamykać wcześnie restauracye i kawiarnie?

Ja, nie chcąc ustępować, powiadam:

— No! Gdybym chciał, znalazłbym miejsce, gdzie się można zabawić... Wszak istnieją kluby, resursa...

— Tak! Ale ponieważ nie grywasz w karty, tam cię nie ciągnie. W knajpce jednak, to mógłbyś nawet nocować!

— Trudna rada! Widocznie karmiono mnie flaszeczką i dlatego tak przyzwyczaiłem się do szkła, iż się bez niego obejść nie potrafię!

Niechaj jednak nikt nie myśli, że zajmuję się lekturą polityczną. Broń Boże! Do polityki czuję wstręt i to także od urodzenia, zwłaszcza, że jak mi powiadają, już wówczas nieraz miałem do czynienia z żółtem niebezpieczeństwem, które i teraz Europie tak zagraża, że nawet Portugalia nie pomoże, choćby przerwała swą neutralność.

Mnie zajmują artykuły treści ogólnej, ot, n. p. tego rodzaju, jak „Amerykańskie dziennikarstwo w czasie wojny obecnej“.

Bardzo mi przypadł do gustu, zwłaszcza, że to, co gada tam Amerykanin, może i każdy z nas, zajmujący się dziennikarstwem, z czystem sercem powtórzyć! Ludziom się zdaje, że na wojnie robią wydawcy brylantowe interesy, a tymczasem tak nie jest! Jeszcze dziennik, wydający w dwudziestu cztery godzinach kilka nadzwyczajnych dodatków, skoro tylko nadejdzie jakiś ciekawy telegram, wiąże jeszcze jako tako koniec z końcem, zato tygodnik... pożal się Boże! Lepiej cicho siedzieć!

Papier zdrożał, cynku brak, współpracownicy każą sobie więcej płacić, a tu cena prenumeraty ta sama, a odpadły ogłoszenia, które w budżecie administracyi stanowią rubrykę bardzo pokaźną...

Zechce może kto powiedzieć, że zato liczba czytelników wzrosła, bo każdy ciekawy, co w świecie słychać nowego. Powiem: zgoda!... ale dodam, że tylko takich, którzy lubią czytać, ale *gratis!* Ilu masz znajomych, każdy cię prosi, czyby nie mógł otrzymać bezpłatnie numeru, bo to teraz ciężkie czasy i na prenumeratę nie stać. Odpowiesz, że nie, masz już wroga, który, spotkawszy się ze znajomymi, powie im, że twoje pismo schodzi na psy.

Znam panów kamienicznych, adwokatów, urzędników ze złotymi kołnierzami i t. p., którzy chodzą od handelku do handelku, prosząc znajomych o pożyczenie, bodaj na minutkę gazety.

Tu bombka, tam bombka, na to są pieniądze, bo trzeba popierać przemysł krajowy (racya!... z akcyzy ma dochód i miasto!... przyp. zecera), na „bibułę“ zaś wydawać szkoda!

A potem dziwią się ludzie, że dziennikarze i literaci chodzą bez butów i przyświecają narodowi, ale... wytartymi rękawami!

Tak jest w Ameryce, tak samo i w Europie, z tą jednak maleńką różnicą, iż amerykańscy, a tu i ówdzie i europejscy dziennikarze, to panowie, a nasi, polscy, przeważnie dziadowody.

Wszak nie tak to dawne czasy, gdy jeden z dziennikarzy i to o nazwisku znanem, starał się o rękę córki któregoś z krakowskich mieszczan, nie pomnę już wołoboja, męczybuły, czy innego jakiegoś fachu. Papa dobrodziej, wysłuchawszy uważnie, zapytał konkurenta:

— A łaskawy pan czem jest właściwie?

— Dziennikarzem i literatem! — odparł tenże z dumą, pewny, że tem zaimponuje.

— Literatą? — powtórzył — A cóż to jest?

— No! Piszę książki, artykuły...

— Hm! To, niby, taki sobie, panie bzdzieju, skrobipiórek! Nie, panie! Za „bele kogo“ córki swej nie wydam! To dziecko z obywatelskiego domu!

Dla ścisłości dodam, że petent pochodził z rodziny senatorskiej i dla kraju zasłużonej!

A takich dowodów uznania spotykamy dość na każdym kroku...

Drugi artykuł, który również mnie bardzo zajął, nosi tytuł: „Koszta wojny europejskiej“.

Narzekamy ciągle na biedę i na brak pieniędzy, tymczasem widzimy, że nie mamy racyi, bo monety jest dość, skoro wystarczy na prowadzenie wojny.

Bałem się, czytając, by mnie naprawdę nie rozbolała głowa, ale nie z siedzenia, lecz z ogromu sum, jakie dotąd złożyliśmy na ołtarzu Marsa (ale nie tego z Limanowej... przyp. zecera) i Bellony.

Według pobieżnych obliczeń jakiegoś angielskiego (aha! pewnie za młodu chorował na angielską chorobę!... przyp. zecera) ekonomisty, przez pierwszych sześć miesięcy wojny wydano ogółem około, a nawet więcej, niż czterdzieści miliardów koron, nie licząc w to kosztów Turcyi, Japonii, Serbii i Czarnogóry, *eo ipso* i państw neutralnych, które przecież także się na gwałt zbroiły!

Ładna sumka, ale „kto to bude platit?“, jak powiada jeden mój znajomy, Czech z rodu.

W każdym razie konstatuję, że wojna już mi się sprzykrzyła najzupełniej i radbym bardzo, by się już raz skończyła, by nastały te dawne, dobre czasy, kiedy to można było siedzieć spokojnie przy bombce bodaj do północy... Chyba, że babę licho nadniosło! Ale trudno, to już *vis major*... Zamyślam nawet zacząć szturmować do zarządu „Ligi pokojowej“, nie wiem jednak, do kogo się zwrócić, pani Berta Suttner bowiem już zmarła, a adresu pani Chwatowej nie znam, chciałbym zaś, by, miast wodzenia się za łby, nastał czas ogólnej miłości, o którym powiada poeta, że:

„Kocha pies kanarka,
Kanarek niedźwiedzia,
Niedźwiedź salamandrę,
Salamandra śledzia!“ ...

I zdaje się, że rzeczywiście już nadchodzi, a taką jaskółką pokojową (w poprzednim numerze była gołębica... przyp. zecera) jest podróż rosyjskiego ministra skarbu, Barka, który wybrał się rzemiennym dyszlem „na wander“ po Europie, jak powiadają, po kweście. *Via* Rumunia jedzie do Sofii, a następnie do Paryża i Londynu, aby sojusznikom upuścić nieco krwi serdecznej z portmonetki. Z tego widać, że nad Newą brakuje już monety, a wiadomo, że do prowadzenia wojny potrzeba, według słów jakowegoś Montecuccolego, pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

Wobec tego pan Bark pojechał zapukać do serca i kieszeni sprzymierzonych, aby zaś byli wrażliwszymi na jego słowa, postarano się o puszczenie w prasie europejskiej wiadomości, że Rosya, o ile nie otrzymałaby pożyczki na koszta wojenne od Anglii i Francyi, zmuszoną byłaby zawrzeć pokój na swą rękę.

Ale to już dobry znak, że Rosya jest w kłopotach finansowych, koniec wojny, zdaje się, zbliża się coraz większymi krokami.

Albo, czy nie jest dowodem pokojowego usposobienia ludności, iż w czasach tak krytycznych zajmować się mogą jeszcze takiemi głupstwami, jak wynajdywanie nowych tańców?

Czytamy w jednem z pism wiedeńskich, iż nad modrym (ale nie „mądrym“ Dunajem) przygotowuje się wspaniała produkcya choreograficzna, podczas której zacni Wiedeńczycy i wyewakuowani Galicyanie (o ile ich do tego czasu pan Weisskirchner nie wyrzuci!... przyp. zecera), ujrzą cudowny „taniec reju sojuszniczego“, i „walc Vindobony“.

Kto więc ciekawy, niech tam jedzie, o ile go naturalnie puszczą do Wiednia!

LALKI Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **C. SZCZURKOWSKI** W KRAKOWIE **ul. Grodzka 2**

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego**
Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 381.

Rok założenia 1900

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

Nerwowo chorzy mężczyźni
(Neurastenicy)



niech żadają broszury **o natychmiastowym** usunięciu tego zła po nadesłaniu 40 h w markach pocztow.
Adres: **„Nowa Mechanika 232“** Fach pocztowy 40, Budapeszt, Główna poczta

„KRYSZTAŁ“ Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232
POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY
poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**
Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

Zakłady „Nowości Illustrowanych”

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE
ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

ADMINISTRACYA

„Nowości Illustrowanych“ odsprzedaje z każdego numeru fotografie i klisze cynkowe, wykonane we własnym

ZAKŁADZIE CYNKOGRAFICZNYM

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M.Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.